



№ 382.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2
miesięcznie kop. 67 i pól.

Warszawa, 19 stycznia 1867 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie.
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3,
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM XV.

TREŚĆ NUMERU. Dobry Starosta (z drzeworytem). — Kronika tygodniowa. — Wyprawa pana Prota (z 6ma drzeworytami). — Międzyboż w gubernii podolskiej (z drzeworytem). — Nekrologia półroczna. — Szkice z życia warszawskiego (drzeworyt). — Szachy. — Rebus. — Z Tydlisu pod Ararat (dalszy ciąg). — Pierwsza pacjentka. (Powieść). Dalszy ciąg. — Przegląd polityki zagranicznej. — Korespondencya od redakcyi — Helena (Powieść). Dalszy ciąg.

Dobry Starosta.

Podanie gminne pomorskie, opowiedziane przez R. Zm.

Niema prawie takich zwalisk, do którychby lud okoliczny jakiegokolwiek nie przywiązywał powieści. Najpospoliciej bywają to podania o ukrytych w ruinie skarbach, lub o dawniejszych panach zamczyska, ich gwałtach, zbrodniach i pokucie; dobry bowiem pan w świecie podaniowym jest niesłychanie wyjątkowym zjawiskiem. Otóż jedno z tego rodzaju rzadkich podań zachowało się dotąd z dawnych jeszcze czasów w zupełnie już dziś zniemczącej stronie Pomorza.

W powiecie starogrodzkim (Stargard), w pobliżu wsi dawniej zapewne Żegot, obecnie Seekaht zwaną, rozciąga się dość obszerne jezioro, z którego łona trzy się wynurzają wysepki. Na jednej z nich sterczą dotąd szczątki istniejącego tu kiedyś grodu. W tym to grodzie mieszkał niegdyś *dobry starosta*, poddanych swoich nie pan, ale ojciec prawdziwy, a wszystkich cierpiących i potrzebujących opiekun i pocieszyciel. Ktokolwiek w rzetelnym ucisku udał się do niego o pomoc lub radę, nigdy nie odszedł niezadowolony. Dobry starosta przychodził niezastudzonej nędzy z ulgą i hojnym wsparciem; na inne zaś uciski i dolegliwości ludzkie nigdy nie zbywało mu na dobrej radzie, do znalezienia której pomocą mu była jakaś wielka księga, mówiąca o wszystkim co było i będzie kiedy na świecie. Starosta rozczytywał się w niej pilnie, i zwykle nawiedzający zastawali go z tajemniczą księgą w ręku.

Oczywiście istnienie tak dobrego i mądrego pana było największym szczęściem dla jego poddanych i całej okolicy; było to, jak gdyby anioł boży widomie zamieszkał pomiędzy ludźmi. To też niedziw, że gdy po upływie długiego dobroczynnego żywota sędziwy starosta śmiertelne wreszcie zaległ łożo, w całej okolicy panował nieukojonny płacz i narzekanie, a gro-

mady zasmuczonego ludu zalegały zamek i cisnęły się do drzwi chorego. Na kilka godzin przed śmiercią, a było to właśnie wsam wieczór świętego Jana, tknięty powszechnym żalem i płaczem, starosta w te do otaczających odezwał się słowa:

równie jak mnie przysłało zgodzić się kornie z ojcowski wyrokiem Jego. Wszakże na waszą pociechę to jeszcze powiedzieć mogę, że choć ciało me spocznie w grobie, duch mój niezupełnie rozstanie się z wami. Widząc wielką waszą nad stratą moją żalność, proszę

gorąco pana Boga, ażeby mi choć niekiedy jeszcze z za grobu wracać do was pozwolił. I otóż kiedy niedawno zasnąłem, miałem objawienie, że co roku w tę noc świętą, w której zamknę oczy, wolno mi będzie wrócić do tego zamku, i jak niegdyś służyć wam pomocą i radą. To zachowajcie w pamięci i powiedzcie drugim braciom waszym, aby wiedzieli w potrzebie gdzie i kiedy znaleźć mnie mają.

Stać to była pociecha i nadzieja dla słuchających, w obec niepowetowanej straty; niemniej jednak, gdy od śmierci dobrego starosty rok już dobiegał blisko, wszyscy z niespokojnym wyglądem oczekiwaniem, aż się spełni przyrzeczenie jego. Alie jak nigdy żadnym słowem swoim, tak i tą obietnicą nie zawiódł umierający. Około samej północy, w czasie kiedy przed rokiem bogobojnego oddał ducha, ukazała się poważna i łagodna postać jego, z tąż księgą w ręku, z którą zwykle go widywano, a którą przy swym boku pochować polecił, na murach zamczyska — i ci wszyscy którzy mieli odwagę przystąpić doń i wypowiedzieć potrzeby swoje, odeszli pełni pociechy i nadziei. Toż samo powtórzyło się za rok drugi, i potem rok w rok przez wszystkie lata, jakkolwiek już dawny zamek, skutkiem wojen i długiego wieku, zamienił się w pustkę i ruinę. I po dziś dzień jeszcze dobry starosta, wierny swemu słowu, w każdą noc święto-jańską zjawia się na zamkowej wyspie; ale dobroczynne zjawisko nieużytecznym już się dawno stało. Od paruset lat bo już wstronach tych nikt nie umie języka starosty, a tak ani jemu objawić



„Unikaj złych towarzystw, bo te i najlepszego o upadek przywodzą.“ . . . (Układ i rys. H. Pillatego).

„Dzieci moje! przestańcie tych łez i biadań, żeby nie obrażać Boga. Dopóki była święta jego wola, żyłem pomiędzy wami, służąc wam wedle słabych sił moich; dziś, gdy Mu się mnie powołać spodobało, wam

swych potrzeb, ani danych rad zrozumieć nie może. Ostatnim który korzystał z pomocy starosty, miał być przed około 90 laty jakiś młody Polak, stolarz z Torunia, o którym następująca krąży powieść.

Niefortunne te odkrycia zmusiły nakoniec lekkomyślnego majsterka do zastanowienia się nad swym położeniem, którego wypadek w tych mniej więcej wyraził się słowami:

„Koniec końców, to pewno, że zadłużony po uszy i że długów tych spłacić nie zdołam. Krewnych, ani przyjaciół, którzyby mi ze skuteczną pomocą przyjsć mogli, nie mam. O odrobku trudno myśleć, bo drzewa nikt mi już na wiarę nie da. Diabła sprawa! Co tu począć z sobą?... Ah! ba! alboż to tylko strugając wióry można żyć na świecie? alboż to świat taki mały?... Ot, słyszę w Hamburgu werbują żołnierzy dla Anglików. U tych ludzi to złoto jak u mnie trociny; życie musi być wesołe, a jak Bóg pomoże, to kto wie jeszcze co się stanie z biednego stolarzyny. A no! to i krótka sprawa. Marsz do Hamburga, do Anglików! Gospodarzowi niech zostaną na zapłatę rupiecie moje, a inni niech sobie klną ile się spodoba. Czart im winien, nie ja! poco pożyczali?... Zresztą, jak będę księciem albo generałem, to im wszystko z lichwą wrócę.“

Po tej króciutkiej ze sobą naradzie, rezolutny nasz majster wrócił cichutko do domu, spakował w tłumoczek cokolwiek ubrania, przeliczył z dość kwaśną miną co mu zostało gotowizny w mieszkaniu, i wymknąwszy się pod okryciem leciutkiego płaszczka za wrota domu i miasta, z pełnym otuchy sercem powędrował ku Hamburgowi.

Jakśmy widzieli, szczęśliwa dola zawiodła go w wieczór święto-jański do Seekaht. Gdy bowiem z zaostrozonym całodzienną wędrówką apetytem posłał się zastawioną przez gospodynię wieszak, chłopci przy drugim stole, z powodu dzisiejszego wieczora, poczęli rozpowiadać sobie szeroko całą historią o dobrym staroście. Nasz wędrowiec więc, który wybornie po niemiecku umiał, słyszał liczne przykłady, jak to zmarły starosta tym którzy z nim po polsku rozmówić się mogli w najtrudniejszych razach cudowną świadczył pomoc, i bolesne niejednego z obecnych westchnienie, że się dzisiaj z dobroczynnym zjawiskiem porozumieć nie potrafi.

— Aha! pomyślał sobie, wy nie możecie, ale ja mogę! A jeśli istotnie dobry ten duch tak chętnie potrzebnym udziela pomocy i rady, to dalibóg mnie ich odmówić nie powinien, bo zaiste położenie moje wcale nie wesołe. Chociaż nie chłodno, to porządnie głodno i do domu daleko!... a i do tego opętanego Hamburga straszny jeszcze kawał, że nie wiem jak się do niego o tych kilku srebrnikach i dowlec. Pojutrze chyba mi już zebrać przyjdzie, a tu lud wcale nie ochoczy do dawania... Zaczę starosto! tyś teraz moją nadzieją!...

Skoro się chłopci rozeszli, zapłaciwszy za wieszak, rozpytał się u gospodyni o drogę do jeziora i wkrótce szczęśliwie trafił do jego brzegów. Przy jasnym blasku pełni miesięcznej dojrzał na jednej z wysp sterczące z zarośli ostatki warownych murów, a błogim trafem znalazłszy u brzegu uwiązana kódkę rybacką, nie potrzebując wplaw się trudzić, bezpiecznie przybił do zwałisk.

Jak mogliśmy już zauważać, na odwadze majstrowi naszemu nie zbywało. Chociaż więc z cokolwiek przyspieszonym biciem serca, bez zbytecznej przecież trwogi oczekiwał zjawienia się ducha. I kto wie, gdyby starosta, zwyczajem pospolitych widziadeł, ukazał mu się z ostatnim uderzeniem północnego dzwonu, możeby był nie wzdrygnął się nawet. Ale gdy na dobrą jeszcze przed północą chwilę, wśród najgłębszego pogodnej nocy milczenia, naraz niespodziewanie z za olbrzymiego złomu muru ukazała mu się wyniosła postać, w długie, poważne przyodziana szaty, z białą na piersiach brodą i ogromną księgą w ręku, zuch nasz zatrząsł się cały jak liść osiczyzny, i nie pomnąc że dobrego ducha ma przed sobą, bezwiednie wykrzyknął drżącym głosem ową powszechnie używaną w takich razach formułę:

— Wszelki duch pana Boga chwali!

— I ja Go także chwale, teraz, zawsze i na wieki wieków, amen! odrzekło widziadło.

Te słowa, ton którym były wymówione i chwilka która tymczasem upłynęła, dały ochłonąć stolarzowi z przerażenia i zebrać napowrót w sercu mężstwo. Na zapytanie więc starosty: kto jest i czego żąda? dość spokojnie począł opowiadać swą niedolę, nie tając przytym wcale własnej winy wyznania i szczerego ztąd żalu. Zakończył nieśmiałą prośbą, jeżeli można, o wsparcie i radę co ze sobą czynić: czy

sprzedać się Anglikom i wojskowego tentować szczęścia, czy też skromnie, zaszedłszy pomiędzy Niemców, nanowo wziąć się do swego rzemiosła.

— Niechajże mnie Bóg uchowa, odpowiedział starosta, ażeby ci miał dawać podobnie bezbożne rady, lub pomagać do ich spełnienia. Pracować na swęj ziemi uczciwie, oto jest pierwsze prawo i obowiązek każdego zacnego człowieka. Tą tylko drogą jeżeli iść zechcesz, udzielić ci mogę rady i pomocy.

— Ach! wielmożny starosto! wykrzyknął stolarz, czegożbym ja goręcej pragnał, jak wrócić znów między swoich i nauczony doświadczeniem, nanowo zacząć pracować!

— Słuchaj więc, mówiło znów zjawisko. Długi w które cię lekkomyślność własna zawikłała, nie są tak wielkie, abyś ich przy usilnej pracy wrędcie spłacić nie mógł, bylebyś tylko na razie potrzebną znalazł pomoc. Takową pomoc ja ci oto daję. Te dziewięć sztuk złota wystarczą ci i na spłacenie wierzycieli i na ponowie rzemiosła. Pamiętaj jednak że ci ich nie daję darem, lecz pożyczam tylko. Od jutra za rok, w dzień świętego Jana, po pierwszej mszy porannej, rozdzielisz wierne co do szeląga tę sumę między uczciwych ubogich miasta twego. Do tej zaś pożyczki dodam ci rad kilka, daleko od niej cenniejszych, które oby się wrazić nazawsze chciały w pamięć i serce twoje. Unikaj złych towarzystw, bo te i najlepszego o upadek przywodzą. Bądź wierny zawsze twojemu słowu, choćby cię to nawet chwilowo na straty i przykrości narażało, gdyż w końcu rzetelność złotą oplaci się lichwą. Nareszcie, nie opuść nigdy i dla żadnego powodu dobrego uczynku, do jakiego spełnienia Bóg ci następczym sposobność, a znajdziesz przedź czy później na tym już świecie nagrodę. Teraz zaś wracaj z Bogiem do domu i żyj według tego com ci powiedział.

Jak widzieliśmy, rady starosty nie różniły się niczym od tych pięknych ogólników, jakie każdy kaznodzieja owieczkom swoim, każdy nauczyciel uczniom po sto na rok powtarza razy i jakie jednym uchem zasłyszane, bez skutku drugim wychodzą zwykły. Tu jednak całkiem inny odnieść one miały skutek. Ze słów starosty, z tonu jego mowy wionęła taka jakaś dziwna moc podbijająca duszę, że naszemu stolarzowi rady jego nie zdały się wcale ogólnymi maksymami, lecz jasnymi i nieodzownymi przepisami przyszłego życia, od których mu na chwilę odstąpić nie wolno, nie chcieli i na tym i na tamym świecie w ostateczną popaść niedolę. Czuł jak każde słowo zjawiska ognistymi głoskami wrażało się w jego serce, a zarazem jak w nie wstępowała jakaś cudowna moc, potrzebna do rad tych spełnienia. Podniesiony i odrodzony na duchu, zgoła nowy niby człowiek, podziękował staroście za pomoc i rady, i przyrzekając święte takowych spełnienie, oddalił się ze zwałisk.

(Dokończenie nastąpi.)

Kronika tygodniowa.

Wszakże od czasu do czasu cyfry nie zaszkożą. Widzieliśmy w tych dniach:

Suknię aksamitną, która wraz z przyborem tysiąc pięćset złotych kosztowała.

Suknię materyalną za złotych tysiąc.

Suknię tarlatanową, która zaledwie raz albo dwa służyć może, za złotych czterysta.

I pytałimy sami siebie, jak daleko to wszystko zajść może.

Gdzie fortuny, co starczyć zdołają na takie wydatki?

I przypuszczamy na chwilę, że fortuny takie istnieją. Mąż który wydał tysiąc złotych i więcej na suknię żony, może nam powiedzieć:

— A wam co do tego? Jeżeli wydałem, to znać mam na to. Nie zaciągałem u was długu i sam zapłać. A jeżeli mi się podoba żonie pozwalać na zbytki, to rzecz pomiędzy mną a nią i nikomu się w to nie mieszać.

Zapewne, nie mieszać się w to nikomu. Ale czyliż suknia za czwartą część, za połowę chociażby tej ceny mniej będzie strojną? Piędziesiąt zaś na tej sukni oszczędzone daleko użyteczniejszy mogą wziąć obrót.

Wieleż u nas użytecznych rzeczy leży odłogiem, z powodu braku kapitałów, na który się wszyscy uskarżają. I jak może być inaczej. Najbogatsi ludzie przeżywają swoje dochody, mniej bogaci wydają nad siły, ludzie zaś z miernym mieniem ruinują się

kompletnie i to w lat kilka, a wszystko to skutkiem zbytku, który się zakradł w najzwyklejsze życia stosunki. I niema na to lekarstwa: jeden przesadza nad drugiego. Kogo zaś zupełnie niestać na te przepychy, ten woli siedzieć w domu i nie uczęszczać do towarzystw, ani się narażać na niepoehlebne dla siebie porównania. Nie wszyscy jesteście bankierami lub właścicielami kilkofolwarcznych kluczów, a nawet i te szumne słowa nie znaczą jeszcze milionów. Bo któż obliczy stan rzeczywisty majątku finansistów? A nie zaglądać do hipoteki największych dóbr nawet, gdyż spotkałoby cię może smutne rozczarowanie. Czyliż zaś zwykły sposób zarobkowania daje możność ponoszenia tak naprzężonych wydatków? Bo pamiętajmy że to na sukniach się nie kończy, ale wszystko musi być przykrojone według tej miary.

Naturalnie że aksamit lub materya, z trzykociowym ogonem, nie są przeznaczone do włóczenia się po błocie lub śniegu. Trzeba zatem posiadać własny ekwipaż, a jeżeli go się nie ma, trzeba najać, bo w doróżce suknia się nie pomieści, albo narazi się na szybsze jeszcze zniszczenie aniżeli w piechotnej pielgrzymce. Porachujmy więc ile jedna bytność w teatrze, albo na tak zwaną herbatce, pociąga za sobą kosztów.

Do sukni potrzebne są meble stosowne, do mebli całe urządzenie domowe i lokal dość obszerny, a zatem i służba i całe życie na świetniejszą stopę. Pan ze swojej strony, pani ze swojej. Dla dogodzenia obecnej chwili, zastawia się przyszłość całą; nie starczy na edukacją dzieci; ale co tam dzieciom po tem, kiedy mają tak dobry przykład z ojca i matki. Długów się mnoży, deficyt w dochodach rośnie. Mniejsza i o to, byle przyzwoicie wystąpić przed światem.

Na co ci ludzie rachują?

Chyba na manę jakąś z nieba, albo na wodę ze skały; ale teraz Mojżeszowie się nie rodzą, a choćby się rodzili nawet, cofnęliby się pewno przed trudnością zadania, widząc tyle złotych cielców do kruszenia.

Bo z jednym od biedy można by sobie jeszcze dać radę, ale z całą oborą...

* * *

Gdzie istnieją te setki tysięcy dochodów? która panna, wychodząc za mąż, może być pewną dalszego utrzymania na taką stopę, do jakiej się w domu rodzicielskim przyzwyczaiła? Spytajcie się rodziców mających córki na wydaniu, a mogących dać za nie pewną sumę posagową. Sądzą się oni w prawie przebiegania pomiędzy konkurentami. Kupiec niepewny, a zresztą kupcy skarżą się ogólnie na stagnację w handlu. Obywatel ziemski zadłużony i trudność znowu Marynię zagrzebywać na wsi, żeby wyczekiwała na podwyższoną cenę okowity, co jej jedynie da możność zadowolenia choć w części słusznych wymagań światowych. O urzędniku niema co mówić. Bogaci przemysłowcy zawierają tylko związki pomiędzy sobą, jak niegdyś arystokracja, żeby majątki z rodzin nie wychodziły. Artysta, literat, uczony człowiek lub profesor, to wszystko biedacy, którym kęsa chleba braknie; niepodobna dziecko skazywać na śmierć głodową. Pozostaje adwokat lub doktor, to są jeszcze powołania które coś przynoszą, a chociaż nie wszyscy adwokaci i doktorzy wpływają w złoto, zawsze jednak, wydając córkę za jednego z tych panów, można mieć jakiebądź zapewnienie przyzwoitego utrzymania.

Tu przypomina mi się opowiadanie jakie niedawno słyzałem od jednego z doktorów tutejszych.

* * *

„Twierdzą ogólnie o nas, mówił do mnie ów konsyliarz, że zbieramy góry złota. Nie przeczę że niektórzy z nas, przy uciążliwej pracy która im życie skraca, zdołają zapewnić sobie przyzwoity dochód; ale w tych majątkach jakie im głos ogólny przypisuje, wielka jest przesada. Ilu mi wiadomo, najbardziej wzięty z lekarzy warszawskich, doktor M*, który, jak wiadomo, oddany zupełnie praktyce, ani dniem ani nocą odpoczynku nie miał i o którym mówiono że krocie tysięcy dochodu rocznego zbiera, nie doszedł nigdy do cyfry stu tysięcy złotych dochodu na rok. Wielu innych, którym brak nawet czasu na spożycie obiadu i kilka godzin nocnego spoczynku, i połowy tej cyfry nie dosięgają.

Cóż dopiero powiedzieć o reszcie.

Spójrz, oto na tej karteczce masz spis wizyt, które koniecznie dzisiaj oddać muszę. Jak widzisz jest ich dwadzieścia. Spora to cyfra i pokażnie wygląda, a utrudzenia niemało, zwłaszcza jeżeli pomyślisz ile to schodów zbiedz trzeba, ile ludzi pocieszyć i uspokoić, rzeczywistą ulgę im przynosząc. Zdziwisz się jednak gdy ci powiem, że z tych dwudziestu wizyt zaledwie osiem jest płatnych, reszta zaś wcale mi dochodu nie przyniesie, a może nawet wydatków przysporzy. Co więcej bywają często ludzie, względnie nawet zamożni, którzy mają zwyczaj kwitować się z doktorem jakim podarunkiem, zwykle tak obrachowanym, ażeby mniej kosztował, aniżeli zwykła cena wizyty. Są i prawdziwie ubodzy, u których nie śmiałbym się upominać o pieniądze. Są i przyjaciele, a ci to prawdziwa plaga nasza, bo sądzą się w prawie wymagania wszystkiego od nas; przyjaźń bowiem żyje z jednej strony ofiarą, z drugiej egoizmem.

A zresztą tu nie Francja. Weszło u nas w zwyczaj, nie wiem na jakiej zasadzie, że doktorowi upominać się o pieniądze za wizyty nie wypada, a tym mniej wytaczać proces, w razie niedostatecznego wynagrodzenia. Niewolno mu odmówić wezwaniu, a często kwitują go dobrą słowem, ... gdyby choć dobrą słowem!...

Ale nie na tym się jeszcze kończy nasze utrapienie.

Prawdziwą plagą doktorów są wizyty nocne, a wiedzę że tak zwane nagłe wypadki najczęściej w nocy się przytrafiają. Zwykle nagłość ta jest fikcyjna tylko, bo noc przeważnie wpływa na rozdrażnioną wyobraźnię tak chorego, jak i tych którzy go otaczają. Trudno nie stanąć na wezwaniu, bo pod tym względem powołanie nasze wskazuje nam niezłomne zasady postępowania. Trzeba wstać z ciepłego łóżka, przerywać tak miły a konieczny dla zdrowia po utrudzającej bieganiu dnia całego spoczynek, żeby ratować jakiegoś pana, który objadł się zimnego mięsa na wieczerzę, a teraz choruje na niestrawność, przybiierającą w oczach jego i domowników rozmiary cholery, albo gorączki tyfoidalnej.

Niedawno obudzono mnie z pierwszego snu o godzinie drugiej po północy.

Obok służącego, któremu przykazałem żeby nigdy nikomu wejścia nie odmawiał, stał przy łóżku mój jakiś młody, nędznie ubrany chłopak starozakony, trzęsący się z zimna i ze strachu i trzymający latarkę zapaloną. Z urywanych słów którymi odpowiadał na zapytania moje, zdołałem wyrozumieć, że ojciec jego przed godziną niebezpiecznie zachorował i że posłany po doktora, pukając do kilku bram na próżno, trafił nareszcie do mnie.

Zapytałem go gdzie ojciec mieszka; odpowiedział że niebardzo daleko. Niebardzo daleko... znam ja dobrze znaczenie tych słów kilku. Niepodobna jednak odmówić; może wypadek rzeczywiście niebezpieczny. Ubięram się więc pospiesznie, zarzucam futro na siebie i w kilka minut jestem już gotów.

Noc była ciemna i chłodna, deszcz lał jak z cebra, śnieg topniejący na ulicach, tworzył prawdziwe przepaście. Jeszcze po głównych ulicach, opatrzonych kamiennymi chodnikami i gęstymi latarniami gazowymi, podróż nasza dość była znośną; ale wkrótce wyszliśmy na jakies ulice przedmiejskie, nawpół zabrukowane tylko i zaledwie oświetlone słabym blaskiem tradycyjnych olejnych latarni, palących się w znacznych odległościach jedna od drugiej. Tutaj wystąpiła na jaw dogodność latarki którą mój przewodnik trzymał w ręku, i ze strachem pomyślałem sobie o powrocie, podczas którego zbraknąć mi mogło tej gwiazdy przewodniej.

Szliśmy długo, bardzo długo, aż wreszcie stanęliśmy przed jakimś walącym się parkanem, przewodnik mój pociągnął za sznurek i furtka się otworzyła.

Ukazało się przed nami ciemne, długie, błotniste podwórko, zawałone w znacznej części szychkami drzewa i starymi jakimiś gratami, o które co krok trzeba się było potykać.

Błoto coraz większe przelęwało się za galosze, a jeden z nich tak ulgnął w kleistą glinę, że niepodobna go było wydobyć. Słabe światło latarki nie dozwalało dostrzedz ani przed nami, ani w okół nas śladu domu mieszkalnego. Lękałem się postąpić naprzód, żeby nie wpaść w jaką sadzawkę

albo dziurę, zapytałem się więc mojego towarzysza, czy daleko jeszcze do mieszkania ojca i czy nie mógłby jakiej dogodniejszej drogi wynaleźć.

Nie odpowiedział na moje zapytanie, tylko wydał jakiś okrzyk niezrozumiały, który w tej ciemności i w tym odludnym miejscu zakrawał na zbojckie hasło.

Pomimo wolnie dreszcz mnie przeszedł, i począłem wyrzucać sobie dobroduszość z jaką dałem się wprowadzić w tę prawdziwą zasadzkę.

Wtém o jakie kilkadziesiąt kroków przed nami dało się słyszeć stuknięcie niby drzwi otwierających się i usłyszałem kilka słów w zepsutym narzeczu niemieckim, niby w odpowiedzi na wołanie mojego przewodnika.

Osoba stojąca we drzwiach trzymała w ręku latarkę czy świeczkę, której światło drżące odbijało się w błotnistej kałuży, rozciągającej się pomiędzy miejscem na którym staliśmy, a domostwem w jakim drzwi otworzone.

Przez chwilę pomiędzy moim przewodnikiem a osobą we drzwiach stojącą szła głośna wymiana szwargotu, którego, pomimo wyłączenia uwagi, niepodobna mi było zrozumieć; aż wreszcie światło we drzwiach zagaśło nagle, a jednocześnie i ja także znalazłem się w zupełnej ciemności. Słyszałem tylko głośny plusk jak gdyby szybko oddalających się kroków człowieka w błocie brodzącego.

Zostałem sam pośród ciemnej nocy, w miejscu nieznanym mi zupełnie.

Po kilku chwilach namysłu, doszedłem do tego przekonania, że w stanie zdrowia chorego musiała nagle nastąpić zmiana, polepszenie albo też śmierć, bo i to także być mogło. W każdym razie doktor był już niepotrzebny; pozbyto się go więc w najdogodniejszy sposób, żeby mu za wizytę nie zapłacić i pozostawiono go własnemu przemysłowi.

Z wielką trudnością, sflażony i zablozony, zaledwie nad ranem trafiłem do domu. Zyskałem z tego wypadku kilkodniowy katar i utwierdziłem się w przekonaniu o dogodnościach tak zachwalonego doktorskiego powołania.

Ale choćby mnie to i drugi raz miało spotkać, nie odmówię jednak nigdy nocnemu wezwaniu, bo znam całą ważność obowiązków jakie na mnie ciąży.

Dla twojej wszakże wiadomości komunikuję ci ten fakt, który może cię przekona, że zawód doktorski nie jest wcale złotodajnym Paktolem, jak wielu mniema i twierdzi.

Owszem, mało kto tyle śmiesznych, ale i smutnych zarazem stron może napotkać w życiu, ile doktor:

* * *

W Nrze 8 Kuryera Warszawskiego zamieszczony był artykuł, na który nie zwrócilibyśmy uwagi, gdyby nie podpisany pod nim pseudonym (Miron), który przywykliśmy spotykać albo pod poezjami z talentem pisanymi, albo pod luźnymi artykułami, odznaczającymi się zwykle barwnością stylu i trafnością sądu.

Pan Miron występuje w tym artykule przeciwko recenzentowi muzycznemu Tygodnika, zarzucając mu objawienie niedość pochlebnego zdania o grze amatorów i artystów na koncercie dla rodziny po ś. p. Bodurkiewiczu.

Postawiono tam zasadę, że osoby biorące udział w koncertach na cele dobroczynne, nie powinny podlegać krytyce.

Uważając tę zasadę jako punkt wyjścia i główny powód artykułu przeciwko naszemu współpracownikowi wymierzonego, o niej tylko mówić będziemy.

Wszelkie widowiska na cel dobroczynny dawane są publiczne i płatne, a nawet częstokroć drożej płatne od innych. Nie przeczymy że osoby biorące w nich udział czynią z siebie poświęcenie, ale i publiczność opłaca przy wejściu prawo wyrzeczenia swojego zdania. Bo na czémżeby zależało poświęcenie amatorów i artystów występujących publicznie, gdyby tylko bezwarunkowo pochwała była im zapewnioną. Recenzent, będący organem publiczności, jako taki korzysta ze swojego prawa. Może on się mylić, ale wolno mu odezwać się ze zdaniem szczerem i niezależnym.

Weźmy n. p. loteryą fantową na cel dobroczynny, której fanty pochodzą z prywatnych podarunków. Czyliż wygrywający musi koniecznie uważać fant jaki mu z losu przypadł za piękny i drogocenny, choćby to był stary sprzęt wyszły z użytku? Wolno mu go zabrać do domu, albo darować, albo zostawić, prawo bowiem rozporządzania nim opłacił zakupieniem biletu loteryjnego. Wolno i sprawozdawcy z loteryi pozartować sobie trochę z dziwnych zrządzeń losu, który naprzykład obdarza czépką jakiego kawalera, a ostrogami pannę. Wszystko za co się płaci, podlega krytyce. Ten lub ów ustęp z koncertu jest fantem który publiczność wygrywa; niechże ma prawo przynajmniej za swoje pieniądze znaleźć go złym albo dobrym, stosownym albo nie; niechże ma prawo czytać o tym zdanie niezależne, przeciwko któremu można wystąpić i zbić je przeważnymi argumentami, w żadnym jednak razie potępiać go w samej zasadzie nie należy.

Wprawdzie pomiędzy artystami i amatorami powinno być uczyniona różnica; pierwsi bowiem, jako przywykli do występów publicznych na swoje odpowiedzialność, już przez to samo ściślejszej krytyce podlegają. Ale tak pierwsi jak i drudzy, występując w płatnym widowisku, nie mogą stanowić wyjątku z pod ogólnej zasady. Nie bronimy tu słuszności zdania naszego współpracownika, który tym razem wyłącznie prawie o artystach je objawił, za zasadę walczymy tylko. Zarzut zaś młodości naszemu współpracownikowi uczyniony, wydaje nam się ténbardziej niewłaściwym, że podpisując się tylko znaczkim, widocznie nie pragnie on wyjawiać osobistości swojej; p. Miron przeto nie miał żadnego prawa tworzyć pod tym względem jakiegokolwiek publiczne domysły. Być może iż recenzent jest jeszcze młody, ale z wady tej, niezależnej od jego woli, obiecuje się rychło poprawić; a w każdym razie młodość nie wyłącza ani możliwości objawiania kompetentnego sądu, ani powagi w wyrzeczeniu go; dowodem tego sam autor artykułu w Kuryerze umieszczonego, który w młodym jeszcze wieku na uznanie czytających zasłużył sobie potrafił. Możemy zaś to tén śmieliej wyrzec, że w wielu razach w rzeczach piśmiennictwa znany już i wyrobiony pseudonym za prawdziwe starczy nazwisko.

* * *

Od nowego roku 1867 Zorza, pismo ludowe pod redakcją pana Grajnerta wychodzące, z bogactwami się częścią humorystyczną, pod rubryką: Kumoroski całego świata zamieszczoną. Humorystyka dla ludu, rzecz to arcy trudna i mało kto próbował jej z powodzeniem. Nie wyklucza to jednak użyteczności tej rubryki, która dość może znaleźć zasobów, byleby dowcipna a nie gryząca i unikająca wszelkiej osobistości forma, umiała odpowiedzieć wymaganiom treści; sądzimy jednak iż pan Grajnert, doświadczony już na polu piśmiennictwa ludowego, potrafił godnie się wywiązać z zadania jakie wziął na siebie.

* * *

Otrzymałem w tych dniach list następującej treści. „Mieszkasz, panie kronikarzu naprzeciw, hotelu Litewskiego, a nie zwróciłeś dotąd uwagi na różne ulepszenia, jakie w tym niewielkim ale dobrze urządzonej hotelu właściciel jego zaprowadził, dla wygody podróżnych, czasowo tam szukających pomieszczenia. Ténbardziej winienes o tén uczynić wzmiankę, że poilkakrotnie czytaliśmy w kronice uzalania się na brak staranności w urządzeniu hotelów warszawskich. Kto więc gani, ten powinien i umieć pochwalić, zwłaszcza gdy rzecz zasługuje na to.

B* prenumeratorem Tygodnika.

Przyznaje się do winy. Rzeczywiście nie zwróciłem uwagi na to blizkie sąsiedztwo, głównie dlatego, iż mając stałe zamieszkanie, nie potrzebuję czasowego pomieszczenia szukać. Dla naprawienia jednak błędu, drukuję żywem list prenumeratorem, w tén przekonaniu, że ci którym na tén zależy, zechcą się przekonać o prawdziwości jego twierdzenia.

WYPRAWA PANA PROTA.

Humoreska
Józefa Blizińskiego.

Przed staroświeckim dworem wioski leżącej w okolicy Radziejowa (nazwiska nie widzę potrzeby wymie-



Woznica spoglądał w okna, jak gdyby się przymawiał o wódkę

niać), stała bryka w cztery konie gniade zaprzęzona. Woznica w szaraczkowym płaszczu, z białymi herbowymi guzikami i starą lakierowaną czapkę, spoglądał to w niebo, to w okna dworu, jak gdyby się przymawiał o kieliszek wódki, i z niecierpliwości zaciął kiedy niekiedy konie. Ale bo też czas był fatalny: drobny deszczyczek ze śniegiem padał od wczorajszego wieczora, co obiecywało tak zwaną trzydniówkę; zimno było przenikliwe, jak się często trafia o tej porze, bo muszę dodać, że działo się to w sam wielki tydzień, we środę, w końcu miesiąca marca.

We dworze wielki panował rwetes, jak to zwykle w wielki tydzień w naszych dworach szlacheckich. Pani Protowa, jęmość maleńka, tłuściutka, lat czterdziestu kilku, dreptała z pokoju do pokoju i ze wszystkich kątów dochodził krzykliwy jej głosik, przed którym truchlało wszystko co żyło przy dworze. Dwie jej córeczki, panienki kilkonastoletnie, jak się to mówi podlotki, dopomagały matce, więcej się kręcąc i fertając, niż co robiąc; a siostra cioteczna gospodyni, panna Praksesta, tytułowana przez wszystkich łowczanką, na pamiętkę dziadka, który był ongi łowczym radziejowskim, dziewica równych lat z panią Protową, opatrzona w łokciową konotatkę sprawunków mających się porobić na święta, suszyła głowę panu Protowi, który uzbrojony w stoicką cierpliwość, puszczał mimo uszu instrukcją, zapijając ciepłe piwo, gwoli rozgrzania żołądka na drogę, co było rzeczą niezbędną na taką flagę i przenikliwe zimno.

Pan Prot był to szlachcic wysoki, z zawieszonym wąsem, a łbem gółutym jak kolano i sięgający z okładem sześćdziesiątki. Ponad buremi oczami zwieszały się brwi gęste, strzępiaste, nadające jego fiziozjomii wyraz niemal srogości. Ale ten wyraz kłamał: pan Prot był łagodny jak baranek; czasem tylko, rzadko, bardzo rzadko, w chwilach fenomenalnych, gdy mu co zbyt mocno dojadło, unosił się pasyą, z którą nie było mu bynajmniej do twarzy; jękał się wtedy, płał, wymyślał niewiedzieć po jakiemu i wybuch ten mijał natychmiast, stanowiąc epokę w kronice domowej. Ale bo też jak miało mu być do twarzy, kiedy kłąć nawet nie umiał; strzegł się używania wszelkich diabłów i piorunów, a kiedy wypadała konieczna potrzeba dla energii stylu, mówił: trzysta dębów zjadł! albo: tam do sęka!

Jakim był p. Prot i w domowym życiu, i w stosun-

kach ze światem, najlepiej malował nadany mu przydomek Safandudy, pod którym więcej był znany, niż pod swoim rodowitym nazwiskiem. Nie mówiono inaczej na całą okolicę, tylko: byłem u Safandudy, widziałem się z Safandudą na odpuszcie, grad wybił owies Safandule. Człowiek z dobrą sercem i z głową nie tak znów zakutą, nawet dosyć wykształcony jak na partykularnego szlachcica, był najdoskonalszym ciemięgą, jakiego wyobrazić sobie można, a był nim czysto przez lenistwo. Mięwał on, acz bardzo rzadko, swoje chwile ruchliwości umysłowej, a nawet pod pewnym względem inicjatywy, ale to trwało póty, póki nie okazała się potrzeba czynu; naówczas pokazywał się tym czem był, to jest Safandudą. Niezdolny stanąć w obronie własnego przekonania, łatwo zrażający się lada przeciwnością, był niewolnikiem cudzego zdania i byle kto mógł go prowadzić na pasku jak dziecko. Korzystała z tej łatwości żona, którą pomimo to sumienie kazało mu szanować; bo też rzeczywiście, gdyby nie ona, dawnoby na dobrej wiosce chleba nie mieli.

Słuchając bezmyślnie klektania panny łowczanki, przypominającej o szafranie i cykacie i objaśniającej



Pan Prot.

dotatki i poprawki poczynione w konotatce, pan Prot (bo wolę go tak nazywać, unikając ile możności przydomku dawanego mu tylko za oczy), wypił piwo co do kropli, potem otarł serwetą wąsy i z kapciucha zawieszzonego na guziku nałożył sobie fajkę na drogę drajkenigiem pruskim. Pan Prot był zwolennikiem fajki, a palił zawsze drajkenig przemycany, bo było



... i zrobiwszy znak krzyża świętego, ruszył z przed ganku.

to jeszcze za tych błogich czasów, gdy zwyczajny szlachcic emił sobie drajkenig pruski albo i nasz krośniewicki, a conajwięcej gelbwirginią, nie kosztując się na diabłki i żukowy; ale bo też, mówiąc nawiasem, drajkenigi i wirginie można było palić naówczas, gdy dziś nabrały one jakichś własności infekcyjnych. Pan Prot tedy fajki z ust nie wypuszczał, czy to

w domu, czy w drodze, a miał niemiecką porcelanową z odlówką, kupioną kiedyś w Toruniu na Szymona i Judę, na której wypisane było gotyckim charakterem: Glück! Cygar p. Prot nie używał; miał tylko zawsze pudełko jedno dla gości, które przychodziło mu także przemycanym sposobem z Prus. Nazywały się te cygara *Biada*. Poufalsi znajomi p. Prota utrzy-



Pani Protowa.

mywali, że nazwa była trafna, bo w rzeczy samej biada tym co je palili! Cztery konie, jak to mówią, trzeba było zaprządz, chcąc żeby ciągnęły.

Pan Prot atoli sam ich nie palił. poprzeształ, jak powiedziałem, na drajkenigu. To też i w obecnej chwili, naładowawszy sobie kapciuch na drogę, zapalił fajkę i pożegnawszy obie kobiety, udzielające mu jeszcze instrukcyj, mianowicie co do szczęściu jendorów, które oddzielną furmanką pod opieką ogrodnika Mateusza szły na sprzedaż do Włocławka, oraz pogłaskawszy Marynię i Franię, które pocałowały papę w rękę, wsiadł na brykę, rozwinął ogromny płócienny parasol, i zrobiwszy znak krzyża świętego, ruszył z przed dworku.

Snać jednak musiał nieszczerze się przeżegnać, albo być natenczas pod wpływem jakiejś grzecznej myśli, bo droga jakoś mu się nie wiodła od samego początku. Wiatr ciął prosto w oczy, napędzając wielkie płaty wilgotnego śniegu topniejącego natychmiast; a chociaż miał parasol, to wiadomo że ten użyteczniejszy jest przeciwko deszczowi; śnieg ciekawski zacina z boku, zajrzy najciaśniejszą szparką, czasem nawet zdaje się z ziemi unosić ku niebu. Pomimo więc parasolowej ochrony, zaglądał to z prawej, to z lewej strony w oczy p. Prota i moczył mu wąsy, co zdawało się go niecierpliwic. Nadto nim jeszcze wyjechali ze wsi, baba idąca po wodę z kubelkiem przeszła drogę przed końmi, tak że nie można było już jej wyminać, chociaż Wacho śmignął na konie; na polu zaś, już blisko granicy, przebiegł zając. Te dwa smutne prognostyki oddziały na humor pana Prota, który miał powód przewidywać, że ta podróż nie obejdzie się bez przypadków i był prawie pewny, że albo koło spadnie z bryki, albo uwięzną gdzie w jakiej dziurze.

Droga była krwawa. Koła szły w rozrobionym błocie, grzęznąc co chwila po osie, bryka przechylała się na bok i kilka razy o mało nie przewróciła; jechać można było tylko stępą, a pomimo to konie ścigały się i parskwały. P. Prot nie mógł odzalaować, że

do przodku nie kazał założyć złoto-gniadej, a na jej miejsce do dyszla nie wziął wałacha konopiatego przezwanego *drwalem*, bo tak był leniwy i tępy, że jak to mówią, drwa rąbać było można na nim. Złoto-gniada za rąca była do dyszla, to też ścigała się w błocie, tak że p. Prot patrzeć na to nie mógł i gderał bezustanku na Wacha:

- Postronki u złotej za krótko; popuść trochę...
- Czego śmigasz niepotrzebnie?...
- Ejże, ogierowi wytniesz ślępie...
- Schowaj bicz...

Rozkazy te były zupełnie niepotrzebne, bo Wacho ani myślał stosować się do nich, wmawiając za każdym razem panu, że mu się tylko zdaje; gderanie to je-



Pan Prot wycisnął pocałunek na chudej ręce pani Romualdowej.

dnak było dla pana Prota urozmaiceniem nudnej drogi i niejakim dowodem samodzielności, której mu najniesprawiedliwiej, jak był przekonany, zaprzeczano.

Po dwugodzinnej drodze znajdowali się we wsi pana Romualda, przyjaciela z lat dawnych pana Prota, a było to jak obszył na pół drogi do Włocławka. Pan Prot spojrział tęsknie w kierunku dworku bielejącego po za topolami obnażonymi z liści; spojrzawszy pomyślał i odezwał się do Wacha:

jeden szczegół, czém dał dowód niemaliej przytomności umysłu:

— A uważaj, dodał, na Mateusza; jak będzie przejeżdżał z jendorami, to go zatrzymaj, bo pojedziemy razem z nim.

Za całą odpowiedź Wacho *peknął* z bicia, popędził kłusa na suchym bo piaszczystym dziedzińcu i stanął przed dworem.

W chwilę, nim p. Prot zdążył wygramolić się z bryki, ukazał się na progu p. Romuald, uśmiechnięty do gościa, w lisiurze i jałowiczych butach, z fajką w zębach.

— A! sąsiada dobrodzieja!... kopę lat, jak mi Bóg miły... Zkądże bogowie prowadzą?... czy do mnie umyślnie?

— Co prawda, mimochodem tylko, sąsiadku. Jadę do Włocławka, rzekł p. Prot, zlaższy z bryczki i ociérając mokre wąsy o policzki p. Romualda. Jójmości brakło rozmaitych rzeczy na święta.

— Aha!... sprawunki... no, to nic pilnego... Wyprzęgaj! krzyknął p. Romuald na Wachę, pogawędzimy.

— Nie mogę, jak rany bos-

kie kocham... Nie wyprzęgaj!... Muszę jechać, jak sąsiadka szanuje... trochę tylko wytchniemy...

— Czy sąsiadowi źle w głowie, czy co?... na taką drogę!... *Parfors* każę wziąć konie...

— Na miłość boską, dajno sąsiadek pokój, zawołał strwożony p. Prot. Nie mam czasu... tyle sprawunków... żona już ciasto zarobiła...

— Ani słucham!... proszę do pokoju.

Pan Romuald był jednym z tych gospodarzy, co to

bry kwadrans; wreszcie stanęło na tém, że konie się wyłóżą, ale tylko na godzinę, ani minuty dłużej. Wacho dostał dyspozycją, aby nie czekając rozkazu, zajechał sam. Poczém weszli do pokoju, obszedłszy wprzód naokoło konie i obejrzawszy je najskrupulatniej ze wszystkich boków.

— Wię sąsiad, że ogier się *rozfasował*.

— *Przepryskuje*; boję się żeby, do sęka, nie za-



Stefcio po brzuchu p. Prota wywindował się aż na ramiona.

zołzował.

— Otręby! rzekł dyktatorskim tonem p. Romuald, nie jak otręby!... Ale złota coś spaszowała...

— Ściągnęła się przy dyszlu... zaręcza.

— Ale bo któż widział... klacz przodkowa...

— Żałuję... jeszcze na taką drogę... Aj! jaka droga!... Niech mi sąsiadek daruje, dodał p. Prot delikatnie, ale zdałoby się groblę wyreparować na Bachorzy.



MIEDZYBÓŻ W GUBERNII PODOLSKIEJ.

— A może zdałoby się wstąpić i koniom wytchnąć?
— Bogaćby się nie zdało.

— No, to jedź do dworu, rzekł p. Prot, przekonując się z tego przyświadczenia Wacha, że myśl była dobra, tylko nie wyprzęgaj, bo pojedziemy zaraz dalej, niech jeno się szkapy wysapia; a derami nakryj i stań gdzie od wiatru.

Dojeżdżając do dworu, przypomniał sobie jeszcze

łapkiby zastawiali po drodze na gości; pan Prot zaś z samego charakteru swojego, jako safandula, był nadzwyczaj miękki. O ile trudno mu było wybrać się gdzieś z odwiedzinami, o tyle gdy już przyjechał, dosiadywał z drugimi i przetrzymywał ich nawet, odjeżdżając ostatni, a już co od półmiska albo kieliszka, to się nigdy wymówić nie potrafił.

Pomimo to trwała przed gankiem utarczka z do-

— A to po kiego licha!... Jak kto uwięźnie, to posłę po niego konie, i kwita... a zato zję zemną obiadek.

— Prawda i to, rzekł p. Prot przekonany.

P. Romuald klepał wciąż złoto-gniadą.

— Wię sąsiad co, rzekł po chwili, możebyśmy ucieli handelek...

— Jaki handelek?

— Na złotą.
 — A! za żadne pieniądze!
 — Ejże! jakby było czem oczy obetrzć.
 — Ale gdzie tam! nigdy. Klacz własnego chowu... a do tego faworytka żony, dodał po chwili.
 — Dam deresza.
 — Dziękuję za deresza... co mi po nim...
 — Nie widziałeś go sąsiad teraz; każę go wprowadzić. Ale proszę tymczasem do pokoju.

Wszedłszy do pokoju, sąsiedzi powitali się raz jeszcze nanowem *na tém miejscu*, jak to u nas jest w szlacheckim obyczaju, cmokając się głośno w policzki; p. Prot wycisnął pocałunek na chudej rączce pani Romualdowej, matrony jeszcze nie starzej, ale suchej i kościstej, z zaciśniętymi ustami i wiecznie namarszczonój, która pożałowała pana Prota, że na taką flagę musiał wyjechać z domu i zapytawszy o zdrowie jego małżonki i córeczek, oraz panny łowczanki, jak nakazują przepisy przyzwoitości względem gościa, wyszła z pokoju.

Pan Prot wziął się do dzieci, których troje czy czworo kręciło się po pokoju, wycalaował wszystkie jedno po drugim, a najmłodszego Stefcia po brzuchu własnym wywindował aż na ramiona i obniósł po pokoju; zsadziwszy go wreszcie na ziemię, zatarł ręce i spytał jak miał w zwyczaju:

— No, cóż tam *ex publicis*?

Ale nie dowiedział się wiele p. Prot w tej materii, bo to była chwila politycznej ciszy w Europie; więc spojrzawszy machinalnie na zegarek i rozsiadłszy się na kanapie, rozpoczął rozmowę z inną bezki.

— Stefcio rośnie jak na drożdżach.

— A rośnie, wisus, rzekł p. Romuald z uczuciem rodzicielskiej dumy, już tyli prawie co Orszulka.

— Wykapany tatuś; będzie miał pewno ze siedem lat.

— Ej, gdzie tam; pięć skończy na Matkę Boską zielną.

— Jezus Marya! to chłop będzie!...

— Urwipotec okrutny... hajdamaka... Stefek! poznales tego wujka?

Stefek, który wszystkich gości nazywał wujkami, zamiast odpowiedzi, z hajdamacką miną zaczął się bujać na poręczu krzesła i świstać.

— Znasz mnie, he? powiedz, zapytał p. Prot, starając się nadać fizyognomii swojej wyraz jaknajprzymniejszego.

— Znam, rzekł Stefcio, patrząc na p. Prota figlar-nie.

— Jakże się nazywam?

— Safandula.

— He, he, he! zaśmiał się p. Prot, któremu nie przyszło nawet na myśl, że wykapany tatuś powtarzał zapewne to, co słyszał od starszych.

— Smarkacz jakiś, rzekł ojciec, co on ma za koncepta. Pocałuj zato wujcia po francuzku.

Na to wezwanie Stefcio jednym susem znalazł się na kolanach p. Prota.

Całowanie po francuzku zależy, jak wszystkim wiadomo, na szczypaniu się w policzki. Pan Romuald, kochający dzieci do słabości, zamiast abecadła, uczył ich figłów; Stefcia więc, który jako najmłodszy był jego faworytem, nauczył francuzkiego całowania, a że własne swoje policzki przeznaczył na pole prób i wcale ich nie oszczędzał, przeto Stefcio wyćwiczony był znakomicie i lży wyciskał wszystkim wujkom i ciociom bywającym w domu. Skoro więc wziął w swoje obroty p. Prota, ten wyszedł z nich z sińcami, ale pomimo to pogłaskał chłopaka po głowie, i gdy ten, wyciągnąwszy mu zegarek z kieszeni, zaczął około niego majstrować, przykładając go sobie do ucha, pan Prot rzekł:

— Dowcipny kanalia; będzie wisus. Czy się już uczy?

— Uczył się abecadła przy pannie Nerwowiec... ale jakeśmy ją odprawili...

— Ej, do sęka! to niema już tej blondynki, co to...

— Co to się sąsiad tak brał do niej?... ha, ha, ha!

— Ja? ale gdzie tam...

— Niema się co zapiierać, niema... przystojna była, ani słowa... tylko że grymasów póty...

— Cóż niedługo popasała... To tak jak ta nasza Francuzka...

— E, z Francuzką co innego było, rzekł p. Romuald, przymrużając oko z wyrazem domyślności... Już to uderz się sąsiad w piersi; jegomościna to sprawa...

— Moja? co znowu!

— No, no, wiedzą sąsiedzi jak kto siedzi... Domyślałam się, że byłbyś ją sąsiad rad zatrzymał, ale nie wypadło scen robić w domu...

— Ale, jak rany boskie kocham, nie rozumiem.

— Jedno tylko mam za złe sąsiadowi, mówił dalej p. Romuald, który niezmiernie lubił tego rodzaju prześladowania, jak można było zachować tak mało ostrożności...

Słyszając te słowa, p. Prot najnaiwniej w świecie zmieszał się i stanął w piasach, chociaż nie miał sobie nic a nic do wyrzucenia. Dowodziło to wyraźnie, że w safandule, uważanym jako jednostka ludzkiego gatunku, płynie krew tak samo jak w zwyczajnym człowieku; cała różnica jest w jej temperaturze. Dlatego safandula pozwala z siebie żartować i bardzo rzadko gniewa się o to, czegoby zwyczajny człowiek nie zniósł z zimną krwią.

Pan Prot, nie chcąc się bronić ani sprzeczać, wołał odwrócić zrećźnie rozmowę.

— A nauczył się przynajmniej czego Stefcio przy niej? zapytał.

— Powiedz wujciowi co umiesz, rzekł ojciec.

— Umie M, rzekł po chwili namysłu chłopiec.

Nie byłby bardzo mądry wujcio z tej odpowiedzi, gdyby p. Romuald nie był objaśnił, że Stefcio nauczył się abecadła do litery M.

— No, jak na początek, to nieźle, rzekł p. Prot, i objawił chęć przekonania się dotykalnie o zdolnościach zaimprovizowanego siostrzeńca.

Wezwany uroczyście Stefcio, zaczął najprzód galopować na kolanie pana Prota, wierząc zawzięcie palcem w nosku; poczem zachęcony głaskaniem i komplementami, zdecydował się poddać egzaminowi i w kilkominutowych przerwach wygłosił wszystkie litery od A do M. Potrzebował na to dwadzieścia osiem minut.

— Ślicznie, rzekł wujek, ociierając pot z czoła i głaszcząc Stefcia, a w duchu myślał sobie, że byłoby tego już dosyć.

Ale p. Romuald wpadł w sztos popisywania się z synem.

— No, a teraz z geografii, rzekł i biorąc chłopca za wielki palec u ręki, zapytał:

— Co to za część świata?

— Eulopa — odrzekł zapytany, po długim znowu namyśle i galopowaniu na kolanie.

— A ta?

— Aflika.

— Widzi sąsiad! rzekł pan Romuald z tryumfem, nawet na wyrwyki.

— Pojętny chłopak, jak rany boskie kocham, zakończył p. Prot.

Pedagogiczne to posiedzenie przerwał służący w szaraczkowej liberyi, wnosząc na tacy wódkę i zimną zakąskę. Pan Prot poruszył się mimowolnie na kanapie i delikatnie zsadził z kolan Stefcia.

Safandula, uważany w stosunku do innych ludzi, jeżeli traci na porównaniu, to z pewnością nie wtenczas, gdy idzie o zbadanie jego żołądkowych zdolności. Rzekłbym nawet że pewne wskazówki każą wnosić, jakoby zdolności te wyrabiały się w nim w stosunku wprost odwrotnym do innych funkcji szlacheckich. Pan Prot gotów był wypić i zjeść w każdej chwili, cóż dopiero teraz, gdy po swoim śniadaniu dwie mile drogi ujechał. To też nie dając się wcale prosić, przyjął nader wdzięcznie przepicie p. Romualda „do sąsiada“, lknął jednym haustem kielich dzięglówki domowego przepalania i wziął się do zmiatania z talerzy śledzi, rydzów marynowanych i gomótek z karolkiem.

Na tém zesła wyznaczona na popas godzina, a zesła jak nie przy miłej pogawędce o spodziewanych urodzajach, o przeszłym polowaniu, o chartach p. Andrzeja i ogierach p. sędziego, a smarując ostatni kawał chleba, p. Prot widział doskonale przez okno, że Wacho już zajechał, ale udał jakoby tego nie spostrzegł; boć po śledziach należało się czego napić, a był pewny że p. Romuald o tém nie zapomni. Jakoż niebawem Marcinek wniósł na tacy dwie butelki portera i dwie lampki pękate.

Pan Prot przypomniał sobie, że miał w kieszonce od kamizelki zegarek.

— Aj, do sęka! rzekł sprawdzając minuty i rozsiadając się wygodnie na kanapie, pięć kwadransy bez pięciu minut, jak rany boskie kocham!

— Patrz sąsiad, koszulka jest, odrzekł nie uważając bynajmniej na to p. Romuald i podsuwając p. Protowi lampkę czarnego płynu, pokrytego na ówierć cała prześliczną, slinkę pobudzającą pianką.

Pan Prot nic nie odpowiedział, tylko wziął szklankę, we dwa palce, uniósł trochę, zdmuchnął ostrożnie piankę i uroczyście wlał dwie trzecie płynu przez usta do gardła; potem dolną wargą ogarnął wasy, postawił szklankę na stole i zasiadłszy się w kącie kanapy, nadał usta i dmuchnął długo, przeciągle.

Sąsiedzi, wyczerpawszy podczas śniadania reper-tuar zwykłej pogawędki, siedzieli jakiś czas naprzeciw siebie, dopijając pierwszej szklanki i spoglądając tylko jeden na drugiego w milczeniu; pan Romuald bębnił palcami na stole marsza, a p. Prot odezwał się parę razy z ciężkim westchnieniem: Oj tak, tak!

Byłby w kłopotcie, gdyby go zapytano, do czego to stosował.

Gdy pan Romuald nalęwał drugą szklankę, p. Prot zapytał:

— Dawno też sąsiadek widział się z Nietoperskim?

Ten którego p. Prot wymówił nazwisko, był sąsiadem p. Romualda; p. Prot znał się z nim bardzo mało i tém samém nie troszczył się o niego zbytecznie; to też zapytanie to uczynił takim tonem, jakby mówił: ciekaw jestem o czém tam Wacho myśli na bryce.

— Z Nietoperskim? pochwylił p. Romuald, byłem u niego tydzień temu. Niech Bóg broni! dodał trącając w szklankę p. Prota.

— Co, niech Bóg broni?

— W długach już póty... niema Żydka łapserdaka w okolicy, któryby mu nie siedział w kieszeni. Wię sąsiad, sprzedaje majątek, mówił p. Romuald, odkorkowując drugą butelkę.

— Ej, do sęka!... to już tak źle? rzekł p. Prot, kończąc z pośpiechem szklankę.

— Cóż ma robić? jak nie sprzeda na wiosnę, to na święty Jan zabiorą mu subhastą...

— Mój Boże! wygłosił p. Prot, delektując się portem, majątek od tylu lat w rodzinie; jeszcze pono za Augusta II.

Niechaj nikogo nie dziwi to odezwanie się p. Prota, zaczepiające o historią, a tém samém dowodzące że p. Prot czytuje. Rzeczywiście literatura bywa nie obcą safandulom; czytują oni, chociaż z innych pobudek i z inną korzyścią niż zwyczajni ludzie. Często-kroć abonują *dziela* w miasteczku, jeżeli jest księ-garnia, bo miło, leżąc w szlafroku do góry brzuchem na sofie, czytać książkę która nas bawi i jest przy-zwoitą wymówką zaniedbywania innych obowiązków. Ztąd też safandula bywa niekiedy odczytanym. Znałem ludzi tego gatunku, którzy recytowali z pamięci ty-siące wierszy Mickiewicza, Słowackiego lub Pola i pa-miętali nazwiska wszystkich kreacyj Kraszewskiego lub Kaczkowskiego; ale każdy z nich otworzyłby wielkie oczy, gdyby kto śmiał się go zapytać, z jakiego też punktu zapatruje się na tych autorów. Bądź co bądź, trafiają się okoliczności, że safandula może mieć pretensyą do uchodzenia za erudyta, jak naprzy-kład, względnie do p. Romualda, p. Prot był eru-dytem, i rad był że mógł to okazać.

— Tak, mówił dalej, za Augusta II; ale naj-większe rodziny upadają nierządem. Iluż to imion, dawniej znanych w historii, dziś niema ani śladu... Tęczyńscy, Firlejowie...

— Prymasowscy... dołożył p. Romuald, wścibiając swoje trzy grosze.

— Jacy Prymasowscy?

— A ci, co mieli pałac w Warszawie na Sena-torskiej ulicy.

— Jak żyję nie słyszałem... Wiem że tam mie-szkali prymasi, i ztąd nazwa pałacu.

— E, to kwestya. Mógł mieszkać który prymas, ale to niczego nie dowodzi. Nie pisaliby przecież pałac Prymasowskich.

— Nie pisaliby? a gdzie to sąsiadek czytał?

— W Kuryerze... a gdzieżby? Wiész sąsiad do-brze, iż w książki się nie wdaje.

— W Kuryerze! rzekł p. Prot z pogardliwym gestem.

— Drukowane czarno na białém, mówił p. Ro-muald, popiórac swoje zdanie egzemplarzem tego pisma, których kilka walalo się po kątach. Patrz sąsiad, najwyraźniej: skład... czegós tam... wprost pałacu Pry-ma-sow-skich... toć przecie o gramatyce mam trochę wyobrażenia.

Powstała ztąd sprzeczką, podsycana z jednéj stro-ny erudycyą, z drugieję wiarą w nieomylnosć Ku-ryera, a z któreję o mało nie wynikł zakład; ale przerwał ją Wacho, trzasnąwszy z bicza, bo mu się sprzykrzyło czekać.

Pan Prot wstał z kanapy, wysączywszy sumiennie resztki portera, najlepsze, jak utrzymywał, bo z chiną, i zaczął się zbierać do odjazdu. P. Romuald molestował, zatrzymując na obiad; ale p. Prot tym razem trzymał się jakoś ostro. Nalożył sobie fajkę i zapaliwszy ją, chciał pożegnać jeźmość dobrodzijkę. Pokazało się, że jest gdzieś u gospodarstwa, co było rzeczą bardzo naturalną przy wielkim tygodniu; więc zostawił jej tylko ukłony, potem wycalował policzki gospodarza i zaczął szukać czapki. Ale czapki nie było. Napróżno przepatrzone wszystkie kąty: znikła jak kamfora. Dopiero gdy wprowadzono śledztwo z dzieci i Marcinka, wydało się że ją wzięto do folwarku na jaja, które miano z niej podkładać pod kury, jak się to praktykuje dotychczas w gospodarstwach racjonalnie prowadzonych.

Pan Prot zanadto miał poszanowania dla wszystkiego co tchnęło tradycją, aby się o to gniewał; gospodarz zaś pochwylił skwapliwie tę okoliczność, rad że ma środek zatrzymania gościa dłużej i zrobienia mu tym sposobem figla, o czém przemysliwał od chwili, gdy się przekonał że panu Protowi pilno. P. Romuald do okrucieństwa czasem posuwał swoje gościnność.

— Widzi sąsiad! rzekł, samo się składa; zjemy razem obiad. Niechże już tam sobie nasadzają kury; nie będziemy im przeszkadzać. Jęjmość moja nie darowałaby sąsiadowi, gdyby z jego powodu nie miała kurcząć...

— Ale mój sąsiadku...

— Będzie szczupak po żydowsku i karasie smażone...

— Ale widzi sąsiad, broniił się już słabiej p. Prot, najgorzej z temi sprawunkami.

— Wielkie rzeczy!... po obiedzie nie będę zatrzymywał... Wyjedziesz sąsiad o czwartęj, staniesz w Włocławku na szóstą i jutro pozałatwiasz...

— Hm! do sęka; ale bo to już jutro wielki czwartek... i droga paskudna... bakał p. Prot, podczas gdy gospodarz wyszedł przed sień i oznajmiał Wachowi, że ma wyprządz.

Wacho otworzył gębę i niedowierzająco patrzył na pana Romualda; aż we drzwiach ujrzał swojego pana, który rozkaz potwierdził skinieniem, dodając głosem ile możności pewnym siebie:

— Ale bądź gotów, bo zaraz po obiedzie jedziemy.

Wacho przekręcił czapkę na lewe ucho, podrapał się w prawe, ruszył ramionami i śmignąwszy biczem, zajechał przed stajnię.

Sąsiedzi wrócili do pokoju.

— Zrobimy maryasza? zapytał gospodarz.

Pan Prot zajrzał niewiedzięć poco do zegarka.

— No! byle nie długo... parę partyj.

— Póki obiadu nie dadzą.

Więc zasiedli do maryasza, którego obaj zapalonymi byli zwolennikami, a przez cały czas nie było słyhać innego dyskursu, tylko: dwadzieścia w dzwonki, dobre początki; dwadzieścia czerwieni, niech to pana nie rumieni; skupuję niżnika, biję kozerę i t. p. i tak zeszło do obiadu.

Po trzech czy czterech pulach, Marcinek dał znać że już na stole. Sąsiedzi wstali i przeszli do jadalnego pokoju, zostawiając karty na swoim miejscu i przykazując Marcinkowi, żeby niech Bóg bronii nie sprzątał, bo właśnie p. Romuald, dawszy p. Protowi suchą dubłę, odpędził go od puli, i walka miała się skończyć po obiedzie.

Nim jeść zaczęto, było dużo hałasu z dziećmi, których państwo Romualdostwo mieli sześcioro, a ta konsolacja potrzebowała pół godziny czasu na przyzwolite usadowienie się przy stole. „Wykapany tatko“ przyszedł z płaczem, skarżąc się że mu Adaś przyciął we drzwiach Australią, z czego ojciec wraz z p. Prottem wnieśli, że ma wielkie zdolności do geografii.

Po obiedzie, nie czekając na czarną kawę, którą p. Romuald kazał przynieść do swojego pokoju, sąsiedzi poszli kończyć pułę, co trwało około trzech kwadransów; przez ten czas p. Prot, który już parę razy odezwał się, że trzeba kazać zaprzęgać, zauważył przez okno, nie śmiałbym przysiądz czy nie z pewnym ukontentowaniem, iż horyzont, który przed obiadem zaczynał jakoby się rozjaśniać, zasępiał się teraz nanowo i deszcz z dużemi płatami śniegu zaczął padać w najlepsze.

Po skończeniu puli, p. Prot przedsięwziął sumienną obserwację stanu nieba, z pomocą gospodarza, który, ukazując z rozmaitych okien domu cztery kardynalne punkta widokregu i przyzwawszy

w pomoc barometr wciąż spadający, łatwo przekonał gościa, że dziś wyjeżdżać jest niepodobiestwem.

— Ale, rzekł p. Prot, goniąc ostatkiem argumentów, jeżeli barometr spada, to i jutro będzie tak samo.

— Przepraszam sąsiada, odrzekł p. Romuald. W sobotę pełnia, a uważałem już nieraz, że na dwa dni przed kwadrą pogoda się zmienia. Poszedłbym w zakład, że jutro się wypogodzi.

— Ale sprawunki...

— Jak sąsiad wyjedziesz jutro do dnia, to wszystko pozałatwiasz i wrócisz jeszcze na noc do domu.

— Ha! rzekł z rezygnacją p. Prot, i zaniechawszy dyspozycyi dla Wacha, zasiadł napowrót do maryasza.

(Dokończenie nastąpi).

MIEDZYBÓŻ W GUBERNII PODOLSKIEJ.

Wyjątek z przejażdżki odbytej w r. 1862.

Wyruszając z Latyczowa z sercem rozradowanym widokiem oblicza Boga-Rodzicy, od trzech wieków w tutejszym kościele królującej, puściłem się pocztową drogą, wiodącą w kierunku zachodnim, i po ujechaniu półtoręj mili, ujrzałem sędziwy Międzybóż, zadumany niby o swym żywocie tysiącletnim.

Niema wątpliwości, iż to historyczne miasto powstało w dziewiątym wieku, wówczas gdy na łono dziejów wydobywają się nazwy Lutyków, Tywerców, Drewlan, osiadłych między Dniestrem i Bohem. Przybrało ono nazwę swą czysto swojską od rzek Boh i Bożek płynących od zachodu, z przyczyny iż usiadło między niemi na wysokim wzgórzu, w miejscu gdzie się one zbiegają. Kroniki ruskie wspominają o Międzybożu w XII już wieku. Zamek zmurował, jak się zdaje, Kaźmirz Wielki, może na miejscu grodku pierwiastkowego, co się tém udowodnia, że zawierając pokój z książętami litewskimi r. 1366, wymienia Międzybóż w liczbie posiadłości mających przypaść ks. Lubartowi, stryjowi ks. ks. Koryatowiczów.

Międzybóż ze wszech stron przedstawia się okazałe, najkorzystniej jednak od strony Latyczowa. Opodal jeszcze, nim dojedziesz do przedmieścia Trebuchowice, leżącego na prawym brzegu Bohu, widnieje miasto na cyplu górzystym, z licznemi sklepami, ratuszem, kamienicami żydowskimi struktury wschodniej, świątyniami greckimi, farą katolicką i zamkiem okazałym.

Kościół parafialny międzybożski wznosi się na górze ku południowi znacznie pochylonej. Jest to gmach architektury gotyckiej w figurę krzyżową, z dwiema pobocznemi kaplicami z kamienia, zmurowany około r. 1600 przez Adama Hieronima Sieniawskiego podczas koronnego. Facyata frontowa gładka, bez żadnych ozdób, w trójkąt ukształtowana, na zachód ku rynkowi miasta obrócona. Kościół ma długości 50, szerokości 30, wysokości 34 łokci. Naprzeciw facyaty kościelnej stoi dzwonnica murowana, z dachem okrągłym, stanowiąca razem wejście na cmentarz kościelny. W wielkim ołtarzu znajduje się obraz udatny, dawny, przedstawiający Wniebowzięcie N. P. Maryi. Drugi obraz św. Trójcy jest nowy, gdyż dawny ze starości rozpadł się na szczęty. Pierwiastkowo w kościele były trzy ołtarze, dziś jest ich 10, zapewne przeniesionych z dawnych kościołków zamkowych. Ambona starożytna, otoczona posągami apostołów i N. P. Maryi u góry; organki starożytne. Kościół konsekrowany był w r. 1741 przez Wacława Sierakowskiego biskupa kamienieckiego. Po stronie prawej cmentarza, o 20 kroków od kościoła, wznosi się okazała plebania, wmurowana w r. 1772 przez Dłuskiego biskupa suragafna kamienieckiego. Kościół ten z plebanią widnieje na drzeworycie po lewej stronie zamku.

Naprost rynku zmurowanego w kwadrat, ze sklepami, ratuszem i zegarem fundacyi Sieniawskich, wchodzi się do zamku po moście zwodzonym, a dziś murowanym. Dziedziniec wspaniały zaokrągła zamek, zbudowany nad samym skrajem góry skalistej w półwał. Baszowie turecy zrestaurowali gmach ten gustownie, i dotąd w najlepszym znajduje się on stanie. Wchodzącemu na krążganek, rozległy przedstawia się widok ku stronie wschodnio-północnej, uwieńczonej lasami. U dołu zamku płynie Boh od zachodu i podąża na wschód ku Latyczowowi. Z lewej strony Bożek przedzięra się po pod most prowadzący do

przedmieścia Stawnicy, gdzie znajdowały się niegdyś wszystkie budowle ekonomiczne.

Bolesław L.

Nekrologia półroczna.

1. Stanisław Jabłoński urodził się d. 25 marca r. 1816 w Pilicy. Pierwotnie kształcił się naukowo w domu, następnie w szkołach publicznych w Krakowie, gdzie także służył kursów uniwersyteckich. Chlubne z tamąd wyniósłszy świadectwa, pełnił przez parę lat w Warszawie obowiązki urzędnika Komisji skarbu, a potem osiadł we wsi Wałowicach.

Zajęty głównie rolnictwem, pełnił obok tego i obowiązki obywatelskie, powoływany do rozmaitych komitetów z powodu gradobii, pomoru bydła, pożarów i innych klęsk ustanawianych. Nadto czynnym i gorliwym był jako prezydujący w uporządkowaniu ochron, domów przytułku i szpitali.

Zbyszający od tych zatrudnień czas, poświęcał pracom umysłowym i literackim, w czém mu dopomagał własny jego księgozbiór, mieszczący w sobie kilka rzadkości bibliograficznych. Pisywał do różnych pism, najczęściej do Korespondenta rolniczego i Roczników gospodarstwa krajowego, a w końcu i do Kuryera lubelskiego. Jako znawca i lubownik sztuk pięknych, zgromadził piękny zbiór obrazów. Zmarł d. 28 maja 1866 r.

2. Stanisław Gołębiowski budowniczy, umarł w Warszawie dnia 14 czerwca r. 1866. Urodzony w Krakowie 26 kwietnia 1814 r., uczęszczał tamże do szkół, poczem był wolnym słuchaczem w uniwersytecie Jagiellońskim. Następnie praktykował przy budowie kościoła w Krzeszowicach, zaś w r. 1832 wszedł na aplikacyę do Dyrekcyi budowniczey b. rzeeczypospolitej krakowskiej, gdzie po złożeniu egzaminu, otrzymał patent na budowniczego. Dla dokładniejszego wykształcenia się zwiędził główniejsze miasta zagraniczne. W r. 1858 przeniósł się wraz z rodziną do Warszawy. Tu złożył powtórny egzamin i mianowany został wolnopracującym budowniczym klasy 3ej. Oprócz licznych budowli dokonanych w Krakowie, wystawił w Warszawie składy na towary i wielkie piwnice dla jednego z kupców tutejszych, rozpoczął budowę kościoła w Żytnem w gubernii radomskiej i wykończył plany na bibliotekę dla hr. ordynatów Zamoyskich. W r. 1849 został członkiem Towarzystwa rolniczego w Krakowie, zaś w r. 1863 członkiem Towarzystwa Dobroczynności w Warszawie. W r. 1845 wydał w Krakowie dziełko p. t. „O kosztorysach w budownictwie cywilnem, czyli przewodnik do obliczania kosztów na budowle lądowe.“ Rozpoczął w końcu pracę nad wydaniem słownika techniczno-polskiego, lecz ciężka choroba zaledwie do początkowych liter doprowadzić mu go dozwoliła.

3. Antoni Józef Gliński urodził się w r. 1817 w majętności podówczas Adama hr. Chreptowicza, słynnej ze swojej wspaniałej biblioteki i ze wzorowej szkoły dla ludu. Ojciec odumarał go w kolébce, a matka kilka lat później. Nad sierotą rozciągnął opiekę Adam hr. Chreptowicz, przytułił go na swoim dworze i posyłał do szkoły, którą sam urządził w swych dobrach, według metody Lankastra. Na tej to szkole zakończył Gliński swoje kształcenie się, bo musiał conajrychlej pójść w świat o własnych siłach. Przybywszy do Wilna, objął skromne zatrudnienie tłumacza w redakcyi *Kuryera Wileńskiego* i tam pozostawał aż do r. 1863, kiedy zagrożony utratą wzroku, musiał odstąpić pracy. Prócz tego, jako sekretarz rządu gubernialnego, redagował równocześnie przez wiele lat wileńskie *Wiadomości gubernialne*, a o ile swobodne chwile pozwalały, obracał je na własne wykształcenie i dorywcze prace literackie. W r. 1853 wydał w 4ch tomikach swojego *Bazarza*. Dziełko to jest zbiorem baśni ludowych, które spisywał nie z opowiadań, ale z wyuczenia się ich niegdyś na pamięć odtwarzał. Praca ta Glińskiego doczekała się w r. 1862 nowego, pomnożonego i poprawnego wydania. Oprócz *Bazarza*, wydał jeszcze Gliński swój przekład bajek *Kryłowa* w 2ch częściach, pierwszą w r. 1860, drugą w r. 1862. Zakończył życie d. 30 czerwca 1866 r.

4. Ksiądz Jan Menne, kanonik katedry wileńskiej, a od kilku lat asesor kolegium rzymsko-katolickiego w Petersburgu, przybywszy na kilka dni do Wilna, tam w dniu 8 lipca 1866 r. życie zakończył. Świątły ten kapłan, oprócz dwóch dziełek treści pobożnej, wy-

SZKICE Z ŻYCIA WARSZAWSKIEGO.

Rysował F. Kostrzewski.

danych nakładem M. Orgelbranda w Wilnie, pozostawił nadto rękopis nabyty także przez M. Orgelbranda, p. t. *Kazania i mowy pogrzebowe*. Pomiedzy innymi są tam mowy po ludziach tak zasłużonych, jak: Ignacy Szydłowski redaktor Wizerunków i Roztrząsań naukowych; biskup wileński Jan Cywiński; Stanisław Rosołowski dr. medycyny, Julian Moszyński dr. medycyny, autor wybornego dzieła p. t. *Rady dla matek* i t. d.

5. W dniu 25 lipca 1866 umarł w Warszawie Kazimierz Nachajewicz. Był on w latach 1823 do 7 profesorem matematyki w b. szkołach wojewódzkich w Kaliszu, i równocześnie profesorem tegoż przedmiotu w tamtejszym korpusie kadetów. Później pełnił obowiązki inspektora b. szkoły obwodowej przy ulicy Królewskiej w Warszawie, a następnie został dyrektorem gimnazjum w Lublinie, poczem wyszedł na emeryturę. Nachajewicz czynnym i gorliwym był członkiem rozmaitych instytucyj dobroczynnych, a przez długi czas pełnił obowiązki opiekuna jednej z warszawskich ochron ubogich dzieci.

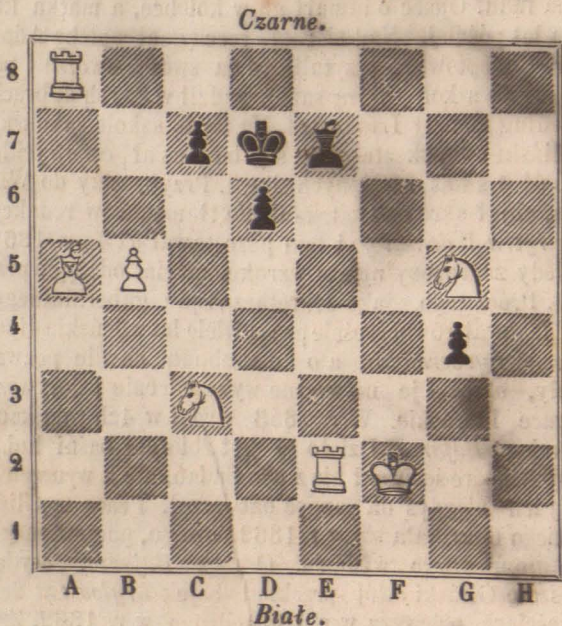
6. Jan Radziwiński, dr. medycyny, umarł w Krakowie w dniu 26 lipca r. 1866. Urodzony na Podolu galicyjskim w r. 1784, nauki pobiierał w Wiedniu, gdzie się doktoryzował w krótkim przeciągu czasu nabył rozgłosu biegłego okulisty. Większą część życia, bo lat przeszło 40, przebył w domu hr. Artura Potockiego. W późnym wieku poświęcał się ze szczególną gorliwością hodowli ryb, uważając takową za mocną przyniesieć znaczne dla kraju pożytki. Radziwiński był także znawcą i zbieraczem dzieł sztuki, mianowicie obrazów. Testamentem zapisał nieboszczyk około 20,000 zł. reńskich na stypendya dla ubogiej młodzieży, mianowicie, dla słuchaczy wydziału filozoficznego w Krakowie, oddających się studjom dziejów polskich i dla czterech uczniów szkół gimnazjalnych tamże.

7. Antoni Kocipiński, zmarł d. 28 lipca 1866 r.

Szachy.

ZADANIE CCCXXXVIII.

Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 337.

Białe.

Czarne.

- 1) C3—D5† 1) F4—G 3.
- 2) G4—F5† odkryty . . . 2) Jakkolwiek.
- 3) G7—G4 lub G2† i mat.



W kantorze fabryki.

— Co ci się należy?
— Za cały tydzień . . .
— Ale tu w książce nie nie stoi.
— Bo to, proszę pana, w poniedziałek odpoczywałem; we wtorek święto; we środę głowa mnie bolała, we czwartek *znouj* jakieś święto; w piątek byłem zmęczony, a na jedną sobotę nie warto było zaczynać.

Życiorys jego wraz z portretem podaliśmy w Nrze 366 Tygodnika.

8. Feliks Minasowicz, mechanik-inżynier, umarł, we Lwowie dnia 29 lipca 1866 r. Zmarły zostawił słownik wyrazów technicznych polskich, starannie przez siebie ułożony. Słownik ten, jakiego dotąd niedostaje w języku polskim, przejrany przez dra Piłata, złożono magistratowi miasta, który go dla użytku rzemieślników i przemysłowców wydać zamierza.

9. W dniu 1 sierpnia 1866 r. umarł w Willanowie (pod Warszawą) Stanisław Przyłęcki, bibliotekarz tamtejszego księgozbioru. Obszerny życiorys jego, wraz z wizerunkiem, wydrukowaliśmy w Nrze 359 naszego pisma.

10. Wiktoryn Zieliński urodził się w r. 1811 we wsi Bobówce, w gub. kijowskiej. Nauki jakie w szkołach odebrał, dzięki usilnej i gorliwej pracy, zubożył licznymi wiadomościami. Poświęciwszy się mozolnemu zawodowi nauczycielskiemu, kształcił młodzież troskliwie i pożytecznie, to jako nauczyciel prywatny, to jako profesor w szkołach publicznych. Tę ostatnią posadę przez długi czas zajmował w Częstochowie, w Łowiczu i w Warszawie. Obdarzony talentem pisarskim, wszystkie niemal pisma peryodyczne społeczne pracami swemi zasilał, zwłaszcza *Gazetę Poranną*, niedługo przez Hipolita Skimborowicza wydaną, *Gazetę Warszawską*, *Polską* i t. d. Poezye jego, mianowicie dumki, z których kilka jest podłożonych pod muzykę, bardzo się rozpowszechniły, jak np. „Gwiazdka moja coś błyszcząca i t. d.“ Inne prace Zielińskiego, jak: *Kurs ekonomii przemysłowej Blanqui'ego*; *Nowy Komeniusz* czyli pierwiastki konwersacji polsko-francuzko-niemieckiej; *Przewodnik do konwersacji w języku francuzkim*, tudzież dzieło *La littérature française*, wydane w języku francuzkim, który Zieliński jak rodowity Francuz posiadał, należą do zakresu tłumaczeń, lub wykładów nauczycielskich. Niestrudzony w pracy, a słabowitego zdrowia, zakończył żywot pożyteczny w dniu 4 sierpnia 1866 r.

11. Dnia 13 sierpnia 1866 r. umarł w Niemirówie Stanisław Piłat, dr. filozofii. Szczegółowy życiorys jego wkrótce podamy.

12. Doktor Fr. Winnicki, urodzony w dniu 1 grudnia 1838 r. w Warszawie, początkowe nauki pobiierał w gimnazjum gubernialnym, po którego ukoń-

czeniu zapisał się w r. 1859 do b. Akademii medycznej, a po wcieleniu tójże do Szkoły Głównej, otrzymał w r. 1864 naukowy stopień lekarza. Po skończeniu kursów, zamierzając dalej się kształcić, pozostał w Warszawie, a znając z doświadczenia niedostatek lekarzy w części miasta podokopowej, obrał tam sobie stałe zamieszkanie, celem niesienia pomocy bliźnim. Biędna i nieliczna tój okolicy ludność otoczyła młodego doktora zaufaniem i szacunkiem. Skromna, wolna od wtrząśnień, praca zajmowała wszystkie chwile Winnickiego i zdawała się rokować mu długie życie; tymczasem w dniu 20 lipca 1866 r. uległ zaziębieniu. W chwili kiedy nastąpiły obfite poty, biedny rzemieślnik zapukał do drzwi doktora, wzywając go do umiérającego dziecka. Zaczynając o własnym cierpieniu, biegnie z pomocą bliźniemu, ale wystawia się przez to na powtórne zaziębienie, w skutku którego rozwinięty tyfus, na zawsze zламаł młode jego siły. Umarł d. 15 sierpnia 1866 r., jako ofiara poświęcenia się.

13. W dniu 16 sierpnia 1866 r. umarł we Lwowie księgarz tamtejszy Jan Milikowski, w 85 roku życia. Urodził się na Śląsku Górnym w roku 1781. Przez lat 60 mieszkając we Lwowie, odznaczył się jako wydawca wielu dzieł naukowych, jakoto: Ossolińskiego

J. M. Wiadomości historyczno-krytyczne do dziejów literatury polskiej, tomów 4; Kropińskiego pisma rozmaite z 29 miedziorytami i portretem autora, Paulego Żegoty Żywoty hetmanów, ozdobione herbami i 17ma wizerunkami na stali; Hofmanowej Pismo Święte, ozdobione 57 stalorytami; Hanusch'a Wissenschaft des slavischen Mythus, prócz wielu dzieł pomniejszych naukowych i historycznych. Ustępując z handlu, z powodu podeszłego wieku, księgarnię oddał synom swoim. Prócz księgarni we Lwowie, miał jeszcze dwie księgarnie w Tarnowie i w Stanisławowie. Milikowski był seniorem księgarzy lwowskich, członkiem stowarzyszeń księgarzy lipskiego i wiedeńskiego, czynnym członkiem stowarzyszenia gospodarczego

(Ob. dodatek.)

Rebus.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 381.

Mądrość jedynie wygan. Jowicka smutek
obawę

(Dodatek.)

galicyjskiego i kuratorem lwowskiej kasy oszczędności.

14. Życiorys **Jana Nepomucena Kurowskiego**, autora i tłumacza wielu dzieł rolniczych i technicznych, zmarłego w dniu 22 sierpnia r. 1866 w Warszawie, podaliśmy w Nr. 369 naszego pisma.

15. **Józef Gluziński**, obywatel ziemski, zmarł w d. 28 sierpnia 1866 r. we wsi swój dziedzicznej Szoludki, w powiecie braclawskim gub. podolskiej. Mąż ten, znany z cnót i rozległej nauki, urodził się 21 marca 1799 roku w mieście Szydłowcu, w b. województwie sandomierskim. Uczył się początkowo w domu; od r. 1814 do 1819 był w szkołach w Wąchocku, na koszcie księżny Anny z ordynatów Zamojskich Sapieżyny. Następnie, wyegzaminowany przez Staszica, odbywał praktykę gospodarską w Szydłowcu, pod słynnym w owe czasy gospodarzem Piegłowskim.

Licznymi w późniejszych latach zarządzając dobrami, dnie przepędzał przy księgach rachunkowych i na koniu, noce poświęcał pracom literackim. Oprócz że pisywał artykuły do pism periodycznych, jak: do *Gazety Rolniczej*, do *Opiekuna Domowego* i *Kalendarza Jaworskiego*, wydał następujące dzieła: „O administrowaniu dobrami ziemskimi“ (Wilno 1847 r. 2 tomy); „Drobnostki gospodarskie“ (Warszawa 1860); „Jak hodować lasy“ (Warszawa 1860); „Opis włości powiatu hrubieszowskiego“ (w *Archiwum domowym* K. W. Wójcickiego); „Nabożeństwo do św. Izidora Oracza“ (Warszawa 1859); „Szarańcza opisana szczegółowo“ (Warszawa 1861); „O przesądach i zabobonach ludu polskiego“ (w *Bibliotece Warszawskiej*); „Biografie rektora i profesorów w Wąchocku i biografią Filipa Nałęcza Piegłowskiego,“ (w *Kronice Warszawskiej*); „O niedźwiedziach i łosiach (w *Tygodniku Poznańskim*); „O wściekłości i kuracji przez znahorów“ (Rozprawa wydrukowana przez *Towarzystwo lekarzy podolskich* w r. 1862). Pozostawił także znaczną liczbę prac w *receptach*.

16. W dniu 19 września 1866 r. umarł w Warszawie **Zenon Ancyporowicz**, znany na polu piśmiennictwa krajowego. Urodził się d. 11go listopada 1814 r. Ojciec oddał go na naukę do gimnazjum 2go w Wilnie, które skończywszy, wszedł w służbę publiczną w r. 1837, najprzód w Wilnie, a następnie w Warszawie. W chwilach wolnych od zatrudnień obowiązkowych, poświęcał się piśmiennictwu. Pisywał artykuły do *Kuryera Warszawskiego*, do *Pielgrzyma* wydawanego niegdyś przez p. Eleonorę Ziemięcką, do *Dziennika Warszawskiego* hr. Henryka Rzewuskiego i t. d. Wydał oddzielnie: „Czytelnia chrześcijańska dla dzieci,“ (Warszawa 1845); „Rys powinności chrześcijanina“ (Warszawa 1845); „Opowiadania z historii polskiej dla dzieci“ (Warszawa 1847); a pod pseudonimem *Preferansowicza* broszurkę p. t. „*Preferans*, jego historia i terminologia.“ (Warszawa 1845).

17. Dnia 8 października 1866 r. w Aix, w departamencie ujścia Rodanu, zmarł **Konstanty Gaszyński**, poeta i powieściopisarz, którego życiorys i portret podaliśmy w Nrze 376 *Tygodnika*.

18. Życiorys i wizerunek zmarłego w dniu 16 października 1866 r. w Biarritz we Francji **Stanisława Lilpopy**, właściciela fabryki w Warszawie, umieściliśmy w Nrze 370 *Tygodnika Ilustrowanego*.

19. **Józef Lex**, były urzędnik Heroldyi królestwa polskiego, emeryt, zmarł w dniu 19 października 1866 r. w Warszawie. Posiadał on znakomity talent do malarstwa i rysunków, a pędzla jego krajobrazy do artystycznych dzieł policzyć można.

20. **Stanisław Sienicki**, doktor medycyny, zmarł w dniu 31 października 1866 r. w Płocku. Biografią jego podaliśmy Nrze 373 *Tygodnika Ilustrowanego*.

21. W dniu 2 listopada 1866 r. umarł w Warszawie **Józef Złotaszewski**, vice-referendarz Rady stanu królestwa polskiego, w wieku lat 45. Urodził się w Warszawie i tu ukończył gimnazjum gubernialne, poczem wszedł w służbę rządową. Obok zatrudnień obowiązkowych, od młodości ś. p. Józef miał zamiłowanie do muzyki, grał biegle na fortepianie, a obdarzony pięknym głosem, przyjmował chętny udział we wszystkich niemal porankach i koncertach na cele dobroczynne. Oprócz tego ułożył niemało kompozycji muzycznych, z których kilka wyszło z druku.

22. W nocy z dnia 2go na 3ci listopada 1866 r. zakończył życie w Wilnie ksiądz **Kazimirz Zaleski**. Obszerniejszą o nim wiadomość podaliśmy w przedostatnim numerze *Tygodnika*, w korespondencji z Wilna.

23. **Fryderyk hr. Skarbek**, znakomity mąż stanu i literat, zmarł w Warszawie dnia 25 listopada 1866 r. Życiorys jego umieściliśmy w numerach 378 i 379 *Tygodnika Ilustrowanego*.

24. **Władysław Garbiński**, syn ś. p. Kajetana Garbińskiego, profesora b. uniwersytetu warszawskiego, współredaktor b. *Roczników gospodarstwa krajowego*, urodzony 1827 r., zakończył życie w Warszawie w d. 5 grudnia 1866 r. Oprócz wielu prac we wspomnianych *Rocznikach umieszczonych*, wydał oddzielnie: 1) *Chemia rolnicza* w popularnym wykładzie, podług profesora Aleksandra Petzholda, Warszawa 1846 r.; 2) *O żegludze parowej na rzekach spławnych w królestwie polskim* r. 1850; 3) *Czy małe lub większe posiadłości ziemskie są dla ogólnego dobra pożyteczniejsze, z Kopego*, r. 1850; 4) *Ekonomia polityczna Michała Chevalier*; 5) *Ustęp o organizacji pracy*; 6) *Rys życia Stanisława Kostki hr. ordynata Zamojskiego*, r. 1856; 7) *O instytucjach kredytu przemysłowego (crédit mobilier)*, przekład z Ludwika Tęgoborskiego, pomnożony życiorysem autora, oraz wstępem i dopiskami, r. 1857; 8) *Listy o właściwym u nas stanowisku kwestyi włościńskiej*, Warszawa 1858 r.; 9) *Treść Roczników gospodarstwa krajowego z całego 20-letniego ich istnienia*, dwa tomy, z tych pierwszy obejmuje okres 16-letni od zawiązania *Roczników*. Wiele pomniejszych rozpraw Garbińskiego mieszczą niektóre kalendarze warszawskie.

25. Zmarły w dniu 8 grudnia 1866 roku w Warszawie ksiądz **Adam Józef-Kalasanty Szelewski**, urodził się we wsi Kozłowiec, w gub. lubelskiej, dnia 11 grudnia 1799 r. Ukończywszy w r. 1809 szkołę wydziałową w Opolu, wstąpił do zgromadzenia pijarskiego. Po roku nowicyatu wykonał śluby zakonne i wysłany został do Warszawy, gdzie przez lat dwa służył nauką wyższą. Ukończywszy studia, został nauczycielem konwiktów warszawskiego, gdzie uczył języków polskiego i łacińskiego, oraz historii i geografii. Później był nauczycielem w b. szkole wojewódzkiej przy ulicy Długiej, a z kolei prefektem, w końcu rektorem w Piotrkowie. Następnie ks. Szelewski sekularyzował się, został kanonikiem honorowym łączącym i profesorem Akademii rzymsko-katolickiej w Warszawie, proboszczem w Brzezinach i kanonikiem katedralnym lubelskim. Po skonie Antoniego Hlebowicza w r. 1848 objął redakcją *Pamiętnika Religijno-Moralnego* i prowadził ją do roku 1862. Oprócz wielu rozpraw i artykułów po różnych pismach, wydał osobno znaczną liczbę broszur, po większej części kazań, lub treści religijno-moralnej.

26. Przed niedawnym czasem zakończył życie we Florencji **Antoni Corazzi**, o którego zgonie już raz, jakoby w miesiącu lipcu r. 1866 nastąpionym, przedwcześnie było doniesione. Ś. p. Corazzi, b. starszy rada Rady budowniczej królestwa polskiego, urodził się w Liworno. Sprowadzony w r. 1818 do Polski, bardzo wiele budowli według swoich planów i pod osobistym swym kierunkiem w Warszawie i na prowincyi wystawił; przeważa w nich styl klasyczny. Cenniejsze są: gmach Komisji skarbu, pałac dyrektorów głównych téż Komisji, gmach Banku polskiego, teatr Wielki, gmach byłego *Towarzystwa przyjaciół nauk*, dom Mikulskiego (dziś Löwenberga) przy ulicy Senatorskiej, dom własny przy ulicy Wiejskiej, wreszcie znaczna liczba gmachów szkolnych, jak b. gimnazjum realne i t. d. Na prowincyi wystawił pałac Edwarda barona Rastawieckiego w Dołhobyczowie (gub. lubelska) i t. d. Otrzymałszy emeryturę, Corazzi osiadł we Włoszech i tam żywot zakończył.

27. W dniu 6 listopada 1866 r. zakończył w Warszawie życie **Karol Teodor Matthes**, rozkrzewiciel w kraju naszym gimnastyki. Ś. p. Matthes urodził się w roku 1801 w Berlinie, gdzie pobierał nauki elementarne i odbył z chlubą kursa uniwersyteckie, odznaczając się wielką zdolnością w matematyce i w nauce filozofii. Następnie, chcąc się poświęcić zawodowi pedagogicznemu, obeznał się praktycznie i z gimnastyką, przybierając wówczas ważne znaczenie w wychowaniu publicznym. W r. 1833, bawiąc chwilowo w Berlinie, zapoznał się z Henrykiem hr. Żubieńskim, który go zaprosił do objęcia posady nauczyciela gimnastyki własnych jego dzieci. Żubieński zaproponował mu następnie założenie instytutu gimnastycznego, przeznaczony ku temu wielką salę w swoim pałacu. Tam przez długi czas Matthes uczył gimnastyki, później zaś przeniósł się do pałacu Branickich, a w końcu r. 1848 do gmachu Sewery-

nowem zwanego. Tu zakład swój powiększył i zaprowadził w nim, prócz zwyczajnej, gimnastykę ortopedyczną. Szkołę pływania prowadził Matthes z sumiennością przez lat trzydzieści. Pracując przez całe niemal życie w zawodzie gimnastyki, usposobił w niej dwóch swoich uczniów, pp. Michała i Stanisława braci Majewskich, w których zostawia godnych po sobie następców.

28. W końcu miesiąca grudnia 1866 roku umarł w Wilnie **Jan Hryniewicz**, b. profesor języka łacińskiego w b. uniwersytecie wileńskim, następnie emeryt, powszechnie szanowany tak z nauki, jak i z prawności charakteru.

29. **Józef Warszewicz**, inspektor ogrodu botanicznego w Krakowie, zmarł tamże w dniu 30 grudnia 1866 r., w wieku lat 56. Szczegółowy jego życiorys podaliśmy jeszcze w Nrze 89 naszego pisma.

Z ateńskich sonetów.

I.

Fryne, widząc że Thespi miesiąc zbył licha
I że nie procentuje jej kram z kaparami,
Do Aten na piechotę wybrała się zcicha,
By tam otworzyć handel hurtowy.... wdziękami.

I pomysł jej się udał. Wnet, jak do kielicha
Słodkiego miodu, z Lesbos zbiegli się z kiesami
Mędrzy i głupcy, oprócz filozofii mnicha,
Xenokrata, co Dianę aż znudził cnotami.

Ujrawszy więc tak godnych i hojnych czcicieli,
Ssała z nich krew i złoto, sztydząc kapitalnie,
I kiedy w Eleusis raz wyszła z kąpie li,

A tłum dźwigał do Delfów jej posąg uroczy,
Spytała: Wy, co tak się bawicie moralnie,
Powiedźcie, zaco Teby napłuły mi w oczy?

Miron.

Z TYFLISU POD ARARAT.

Przez

Kazimirza Łapczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

Jeżeli skorpiony uważać zechcemy za pierwszą plagę georgiańskiego darbaza, drugą z rzędu będą muchy, które się lęgną obficie w sąsiednich nawozach i niesłychanemi gromadami do chłodku sobie ciągną. Trzecią plagą są mróweczki maleńkie, rozrodzone jak morski piasek; wszędzie się dostaną, wszystko zjedzą i popsują. Tyflis nie jest także wolny od tych wścibskich uprzykrzonych. Jedna tylko broń przeciw nim jest skuteczna: perski proszek. To też w tyfliskich cukierkach w ciągu lata każdy stos ciasteczek wałem z proszku bywa dokoła ogrodzony. Czwarta plaga pchły, piąta komary, szósta persaki i nareszcie siódma myszy. Tych ostatnich jednak, choć bardzo licznych, łatwo się pozbyć i za wieś wyprowadzić, a to takim sposobem. Gospodyni w tłusty czwartek syna albo innego chłopczykę stawia przy drzwiach darbaza, a wzięwszy do rąk bułkę i gałązkę polnej róży, chodzi wkoło izby i stuka we wszystkie graty przecikiem, wołając: *myszko! myszko! wychodź!* Potem bułkę i przecik oddaje chłopakowi, ten pędzi za wieś, broń Boże nie oglądając się i nie przemówiwszy do nikogo ani słowa. Na polu zjada bułkę, kawałek skórki na przecik nasadza, rzuca i do domu powraca z tryumfem, wyprowadził już bowiem wszystkie myszy co do jednej. Jeżeli potem myszy pokażą się w darbazie, to inne, najczęściej przybyłe od któregoś z sąsiadów, co zaniedbał tego łatwo dającego się wykonać porządku. Dodać trzeba że polna róża w Georgii, nawet od naszej leszczyny więcej ma rozmaitych cudownych własności, dlatego też jej przeciki w bardzo wielu okolicznościach miękają zastosowanie. Przy wypędzaniu

złego ducha krzyż zgałęzi polnej róży, związany nitką czerwoną, bardzo ważną gra rolę.

O jedenastej byłem z powrotem na stacy pocztowej. Koło południa wyruszyłem w dalszą podróż, w czasie największego gorąca.

Świat poblakł i wypłowiał, dalszych krajobrazów prawie nie można było zobaczyć, bo się migotały z upału, jak gaza ruchoma. Zrazu przy drodze mijałem wzgórki i pola uprawne, ale im dalej, tym bardziej pagórki malały, a pola przeistaczały się w step bezpłodny. Wioski coraz rzadsze, częściej tatarskie niż georgiańskie. Na lewo od czasu do czasu Kur się pokazał na coraz szerszej płaszczynie. Za Kurem zawsze pustynia. Dokoła coraz mniej zieleności, słowem: kraj nieciekawym i bezludnym. Jest to najsmutniejsza miejscowość pięknej Georgii. Gdyby ten step kanałami poprzerzynać, nawodnić i zaludnić, wcaleby inaczej wyglądał. Nieraz brali się do tego georgiańscy królowie, ale ich robota ciągle była przerywana, bo ta szeroka nadkurzańska nizina, to właśnie był gościniec, którym wszystkie dzicze z głębi Azji do Georgii ciągnęły. Goła ziemia tylko zostawała po każdym przejściu tej szarańczy.

Przejechałem kilka stacy pocztowych; noc mnie zaskoczyła, jechałem jednak dalej, chcąc się raz już przecie wyrwać z tego rozparzonego piekła i w górach lekkim i orzeźwiającym odetchnąć powietrzem, nim się do sroższego piekła, do Erywania, dostanę. Niezadługo porzuciłem trakt elizawetpolski, a zarazem nadkurzańskie okolice, ów Tamerlana i Dżengischana gościniec, skręciłem na prawo drogą ku Erywaniowi i wśród nocy sunąłem się nieznaną mi okolicą, drżąc, marząc i przysłuchując się uderzeniom nieśmiertelnego pocztowego dzwonka. Powietrze było coraz chłodniejsze, przy drodze coraz częściej i coraz wyższe zjawiały się jakieś czarne masy: widocznie wjechałem w górską okolicę.

Przy wjeździe do deliżańskiego wąwozu, prawie na połowie drogi między Tyflisem i Erywaniem, z nowym dniem się spotkałem. Od Kodi kilkanaście mil już ujechałem i byłem znacznie nad poziom morza wzniesiony. Chłodek rozkoszny i powietrze aromatyczne nas otacza, ciemności nocne już nie przeszkadzają; rozpatrujmyż się wokoło. Jedziemy wąską dolinką, coraz wyżej i wyżej, trzymając się szumiącej górskiej rzeki Akstafy, co wypłynąwszy z wyniosłego płaskowzgorza, rozdzielającego Georgię od Armenii, ku północy do Kuru podąża. Na prawo i na lewo rząd ogromnych, najdziwotworniejszych skał. Trakt czepia się podnóża tych pionowych olbrzymów. Gdzie mu zawązko i niewygodnie, mostem na drugą stronę rzeki przeskakuje. Cała dolina zarosnięta jest lasem. Ale cóż to za las! Lasy pod Tyflisem, poplątane dzikim winem, najeżone tysiącem kolących i ciernistych krzaków o dziwacznych kwiatach i owocach, jakoś po cudzoziemsku wyglądają; piękne są, ale serce nie rwie się ku nim. Znaczne wzniesienie i pochyłość północna, sprowadziły tu nadwiślański klimat; to też i roślinność prawie nasza. Dęby, buki, klony, jarzębiny i jawory splotły jeden braterski wieńiec, ponad zapienioną rzeką porozwieszały zielone sztandary i rozigrane zaczęły się pięć na skały, próbując kto się też wyżej dostanie. Byle rysa, byle rozpadlina, byle okruszyna ziemi, już tam jest zielona załoga. Drzewa wychylają się ztamtąd ku lasowi, a które ma zamało ziemi, żeby mogło swoje korzenie w niej pomieścić, rozpuszcza je po skałach, jak rozplecione warkocze. Wijące krzewy chwytają się tych ruchomych podpór i gramolą się po nich do góry, tworząc zielone zasłony, z poza których jak otwarta paszcza wejście do groty się czerni. Co krok to coś nowego. Strumyczek wylizwał w jednej skale wązki i głęboki żłób i po jego dnie spada szumiącym wodospadem do Akstafy. Piorun albo może czas odłamał kawał skały, spadła do żłobu, ale nie mogąc się pomieścić, uwięzła na pół drogi. Z czasem kamień pokrył się warstwą ziemi i oto zaraz potężny klon śmiało stanął na kamieniu, korzeniami go opasał i nitki korzonków nad wodospadem rozpuścił, pojąc się wieczną wilgocią. Dęby z wierzchołków skał przechylają się, żeby popatrzeć na tego śmiałka; drzewa z dołu podnoszą w górę głowy, a wszystkie gałęzie szumią: jak on tam wlaź?

A jakie to te skały zamykające dolinę cudowne! Jedziesz i jedziesz, całe pięć mil przejechałeś deliżańskim wąwozem, coraz wyżej i wyżej się wspinasz, nie mogąc od tych skał oczu oderwać, bo się uwzięły,

żeby coraz nowym kształtem, coraz dziwniejszą architekturą przykuwać twoją uwagę. Jakie to kamienne zamki, piramidy, obeliski, sarkofagi, urny, kościoły, meczety i pagody mieści w sobie ten deliżański wąwóz! I któż to tak dziwnie pięknie to wszystko porozstawia?... Już ciż natura. Natura! Będę tysiąc lat na chybi trafi wybierał wyrazy z włoskiego słownika, i jestem pewny że się z nich Dantowski trzywiersh nie złoży. Będę drugie tysiąc lat mazał pędzłami po ciemku, i znowu jestem pewny że się Murillowski aniółek nie wymaluje. Więc jakże mam wierzyć że to jakaś ślepa, bezmyślna siła przypadkowo kreśliła plany tych kamiennych budowli? że to nie artysta nad artystami rozwieszał te zielone, pachnące festony, sypał wiązki światła przez otwory w sklepieniach drzew na chwiejące się w cieniu paprocie, że to nie mistrz nad mistrzami te kolory tak cudownie zespolił i taką harmonią z nich stworzył? Ale mistrz nie podpisał się na arcydziele, okrył się tajemnicą i patrzy z litością na przychodzących tuzinkowych diletantów, co mówią napuszeni: robiliśmy głębokie studia i jesteśmy pewni, że skały siła wulkaniczna wypchnęła z głębi ziemi, że liście się zielenią, bo są zafarbowane zielonym farbikiem, że jednak wszystko razem wzięwszy, miłe jest oczom człowieka... to przypadek, nie więcéj. Oj znawcy! znawcy!

Trakt bardzo był ożywiony, była to bowiem pora, kiedy mieszkańcy nadkurzańskich spieczonych płaszczyn pędzą swój dobytek na górskie, chłodne, zielone hale, okryte bujnymi pastwiskami. Ryk bydła i owiec rozlegał się po deliżańskim wąwozie. Skrzyjące arby wiozły najróżnorodniejsze gospodarskie przyrządy. Mężczyźni, kobiety, dzieci, psy nawet śmiejące się i radosne miały fizygnomie, dostawszy się do tego wonnego, rozkosznego lasu, z niezdrowego porzeczka Kuru. W Szwajcaryi i w Nowotarszczyźnie pasterze tylko ze stadami w Alpy i w Tetry wyruszają, ludność we wsiach pozostaje; tutaj cała ludność rusza w góry, zostawiając we wsiach na pastwę letnim gorączkom tylko straż niezbędną przy ogrodach i zasiewach. Lasy deliżańskie, oprócz tych przelotnych mieszkańców, co się tylko przesuwają pod zielonemi sklepieniami, mają na całe lato stały kontyngens georgiańskich pastuchów. Każdy z nich ma pod swoim dozorem ogromne stado świń krępych, okrągłych jak wałki, podobnych do tej angielskiej rasy, co się niedawno z Kozienic po całej Polsce rozproszyła. Pod dębami ryją krząkające gromady, na dębach drozdy gwizdzą i różnorodne drobne ptastwo świergocze. Niejednego mieszkańca naszych lasów spotkałem przejeżdżając przez te obszerne lasy, nawet czubatego dudka, na którym dotąd poznać się u nas nie umiano. Bo najprzód trzeba wiedzieć, że to co nasz lud o kukułce mówi, że kiedyś była księżniczką, to podług georgiańskiego podania jest mylnem, bo nie zuzula, ale *opopi* była cudownej piękności dziewczicą, a kartagińska *opopi*, jest to właśnie nasz dudek. Ale nacoby mu się przydały tak świetne rodowody, gdyby dudek nie miał osobistej wartości, nie był ptakiem bez porównania od feniksa cudowniejszym? Dudek, jest to skarbonka najrzadszych i najróżnorodniejszych talizmanów i amuletów. Żeby jednak ze skarbonki skorzystać, trzeba dudka we wtorek żywego złapać, a we środę zarząć go jakimśbądź srebrnym narzędziem, chociażby na przykład łyżeczką od kawy. To skuteczniejszy i nie więcéj, przychodzi się od razu do znakomitej potęgi. Bo najprzód: nosząc w swoim woreczku czubek z tak zarzniętego dudka, każdą sprawę w każdym sądzie wygrywasz. Przyszywszy do swego rękawa dolną część dzioba, jesteś wolnym od wszelkich kłótni i od razu pokonywasz swoich rywali, czy to w miłości, czy w czemkolwiek bądź innem. Nosząc w rękawie prawie oko *opopi*, serca swoich zwierzchników największym dla siebie szacunkiem napełniasz. Jeżeli jaki dom będzie zaczarowany, a zechcesz go oswobodzić, zakadzisz mózgiem twego dudka, i wszystkie złe duchy uciekną. Gdzie będą ludzie marli, albo bydło padało, zakopiesz pod próg jeden tylko pazurek, i cała biada od razu minie. Jeżeli kobietę zechcesz od złego wypadku w czasie połogu ochronić, dasz jej serce dudka, żeby je sobie w rękawie zaszyła, i choroba szczęśliwie pójdzie. Nareszcie jeżeli sobie przyszyjesz do prawego rękawa język cudownego ptaka, żadna trucizna ci nie zaszkodzi. Georgiański więc dudek o mało co wartością cudownego kapelusza nie dosięga.

Prócz feniksa-dudka, spotkałem w deliżańskim lesie jeszcze drugą ornitologiczną rzadkość: czarnego bociana. Siedział nad strumieniem i tuż przy bryczce się zerwał; nim pochwyliłem broń i kurek odwiodełem, już za drzewa zaleciał: nie zdążyłem wypalić. Żywego pierwszy raz wtenczas widziałem, bardzo być może iż ostatni.

Za pocztową stacyą Czarustan wąwóz się rozszzerzał, a skały przemieniać się zaczęły w góry lasami pokryte. Konie często szły stępo, bo pod górę coraz stromiej, powietrze coraz świeższe; zdawało się że dojeżdżałem do szczytów, dość dalekie jednak jeszcze były. Lasy pachniały jak w lubelskim, u podnóżu drzew malina przy malinie, jak w ogrodzie.

Niedaleko deliżańskiej pocztowej stacyi, w rozkosznej miejscowości, kilka białych domków przy drodze stoi. Kazałem się przed jednym z nich zatrzymać i zapytałem służącego, który wybiegł na głos dzwonka: Pan inżynier w domu? — Niema pannie, wyjechał na objazd drogi. — Proszę powiedzieć panu, że taki a taki przejeżdżał i kazał go serdecznie uściskać. Było to w owe czasy mieszkanie naszego zacnego rodaka.

Pocztowa stacya deliżańska stoi na rozdrożu; droga na prawo prowadzi do Gumrów czyli Aleksandropola, odległego o mil 14; droga na lewo do Erywania, dokąd jest mil 13 i pół. To właśnie nasza droga. Konie już zaprzężone. Jedziemy.

Znowu lasy dębowe, ludzi coraz mniej spotykam, droga coraz wyżej i wyżej po pochyłości góry się wspina, coraz wcześniejsze wiosenne kwiaty pod dębami. Wymijam arby z budulcem; biedne bawoliska na klęczkach ciągną, taka spadzistość. Arby odmienne jak w Tyflisie; zawsze oś razem z kołami się kręci, jak u lokomotywy, ale koła bez szprychów, z jednej sztuki drzewa wyrobione, jak u wozów z igrzysk olimpijskich.

Droga coraz wyżej się wspina, koniskom ciężko; poszedłem naprzód piechotą. Po półgodzinie las rzednieje, dęby karłowacieją, jakieś chore, garbate i mchem porośnięte: widocznie zawysoko się dostały. Gdzieindziej jakiś śmielszy wyrwa się ku górze, ale wreszcie wszystkie dały za wygraną, zaniechały zdobycia szczytów, ziemię oddawszy w posiadanie trawom, kwiatom i kamieniom. Idę wśród hal, ponad górną granicą lasów, gdzie wieją orzeźwiający, chłodne podmuchy, gdzie zieleność zieleńsza jak w dolinach, jaskry złocistsze, a niezapominajki jak turkusy. Droga wiedzie mnie na szczyt zielonego wału, co świat przedemną zasłania; stanąłem wreszcie na jego wierzchu, na dawniej georgiańsko-armeńskiej granicy, w wysokości przeszło 6000 stóp. Świat nieznanym rozkrył się przedemną, świat zielony, cichy, bezdrzewny, sfalowany górami, gdzieindziej skałami zaróżowiony, gdzieindziej posrebrzony śniegiem, co się jeszcze stopić nie zdążył. Wonny ten, już armeński świat, jest to właśnie wyniosłe płaskowzgorze, sławne z bujnych pastwisk, dzielące dolinę Kuru od doliny Araksu, czyli Georgię od Armenii. Jest to w tym miejscu spłaszczony grzbiet gdzieindziej bardzo stromego łańcucha, bo na lewo o mil dwadzieścia te hale przeistaczają się w potężny grzbiet karabachtski, a na prawo o mil kilka strzelają z nich ku niebu takie szczyty, jak wspaniałe Ałagez (13,700 stóp). Ten świat podobotycznych hal, jest to mur, co zasłania wzdłuż całą Armenię od mroźnych podmuchów, wiejących z kaukaskich lodowisk, a nadto jest to letnie pastwisko wszystkich stad nad arakskiej krainy. Za perskich czasów każda krowa wstępująca na te hale płaciła haracz, który się nazywał *tuchta*.

Siadłem na kibitkę. Jechaliśmy zwawo, bo droga spuszczała się ku dołowi. Za godzinę przybyliśmy do stacyi Czubukli i do najpiękniejszej ozdoby zielonego płaskowzgorza, do górskiego jeziora Sewan czyli Gokczaj, które jest 5870 stóp nad poziom morza wzniesione, ma 12 mil długości i średnio 3 mile szerokości. Wioska armeńska Czubukli i opodal samotna stacya pocztowa, leżą nad północnym krańcem cichego, wspaniałego jeziora, otoczonego z trzech stron wieńcem zielonych gór, co się gdzieindziej śniegiem połyskuje; czwarta strona jeziora, południowo-wschodnia, jak morze nie ma widzialnej granicy, ale z niebem się zespala.

Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, już się rozlokowałem na nocleg na pocztowej stacyi, w pustym gościnnym pokoju, żeby nad brzegami armeńskiego Morskiego oka użyć chłodnego powietrza, zieleności,

oraz braku much i komarów, przed wjazdem do Erywanii i Nahiczewania, słynnych z zabijającej spiekoty i najróżnorodniejszego, dokuczliwego robactwa.

Góry, skarbnice poezji, mają swoją wyłączną, bardzo prozaiczną właściwość: niestykanie zwiększają apetyt. Dotąd żyłem herbatą i zimnymi zapasami, w które moja torba była zaopatrzoną; ale wjazd do Armenii zapragnąłem upamiętnić gotowaną wieczerzą i chociaż na stacyi nic nie było, świetne jednak rozkrywały się przedemną nadzieje, bo jezioro w swoich toniach hoduje smaczne ryby, a dzień mego przybycia był właśnie dniem połowu. Osiodłano dwa konie i pojechałem z pocztylionem do miejsca czasowo zajętego przez rybaków, nie więcej jak ćwierć mili od stacyi odległego. Połów był bardzo zwyczajny: kilku Ormian zapuszczano włók w wody jeziora i wyciągało go na brzeg; jednak złapane ryby, nie były to zwyczajne mieszkańce naszych wód, ale duże losiopstrągi, pięknie nakrapiane czerwono. Porozwieszawszy je u siodła jak olstry, napatrzwszy się kamienistemu dnu, wodzie przezroczystej jak kryształ, czystej jak łąka, zmoczonym Ormianom, podartemu włókowi i purpurowemu niebu na zachodzie, wróciłem na pocztę, i stróż, stary żołnierz, rozpoczął gastronomiczne preparaty. Pokazało się za godzinę, że był wybornym kucharzem, bo chociaż sos z pieprzu i z cebuli był zbyt śmiało zaimprovizowany, przeważył go jednak smak świeżej ryby, połączony z dobrym apetytem, i wieczerza była wysmienita.

(Dalszy ciąg nastąpi).

PIÉRWSZA PACYENTKA.

Kartki z powieści p. n. „Poniewczasie“

przez

Władysława S.

(Dalszy ciąg).

Z kim innym były się ten kontrowers załatwił w jednej ustnej rozmowie, grunt ów bowiem miejski nie mógł być zresztą miastu zupełnie na nic innego przydatny; pan Dicz przeciwie oparł się stanowczo wszelkiemu traktowaniu tej sprawy inaczej jak przez korespondencyą urzędową. Posypały się zatem odezwy i repliki, pan Jan pływał w swoim żywiole i, rzecz naturalna, sprawa nie mogła skończyć się tak prędko.

Los mieć chciał, że w czasie trwania tego kontrowersu zasuspendowano pana burmistrza, którego oszczercze języki pomawiały o niezbyt bezinteresowną pobłażliwość, a nawet, — czegoż-bo plotka nie wymyśli! — a nawet o protekcyą dla handlarzy nieplombowanych towarów i austryackich cygar. Pan Jan Dicz już szykował odezwy oficjalną w przedmiocie kontrowersu do zamianować się mającego następcy, gdy nazajutrz odbiera reskrypt Rządu gubernialnego, który z uwagi na jego znajomość służby, jakiej w ciągu długoletniego urzędowania dał dowody i na znaną powszechnie nieskazitelność charakteru, zgodnie z przedstawieniem naczelnika powiatu i zasięgnąwszy opinii urzędu pocztowego, który w tym względzie udzielił swe pozwolenie, wzywa go aby objął i pełnił zastępczo obowiązki burmistrza miasta Pilicy, aż do czasu ukończenia sprawy zasuspendowanego.

Któżby odmówił tak zaszczytnemu wezwaniu? Pan Jan biegnie do magistratu, obejmuje kierunek spraw, bierze w swoje sprężyste dłonie ster losów Pilicy a ponieważ zasuspendowany burmistrz zaległ z odpowiedzią na jego ostatnią odezwę, więc referuje sam odpowiedź, maltretującą ze szczerem nieszczęśliwego poczthaltera i odsądzającą go stanowczo od wszelkich praw do użytkowania ze spornego dołu i miejsca do kucia koni.

Odebrawszy tę odezwę jako poczthalter, pan Jan odczytał ją z uwagą, jakby poraz piérwszy w życiu, i zawołał:

— Ho! mości panie burmistrzu! czego się to waisci zachciwa! Poczekajno *ad rem*, ja ciebie, panie, nauczę!

I machnął na swe własne zarzuty pełną jaknajoficyalniejszej logiki odpowiedź.

Tego rodzaju polemika z samym sobą trwała aż do zamianowania nowego burmistrza, którego piérwszym ktem wszechwładzy była odezwa do poczthaltera, o-

znajmijająca, że magistrat odstępuje od swych pretensyj i prawa pana Dicza za dostatecznie uzasadnione uznaje.

Tak się skończyła ta jedyna w swoim rodzaju sprawa, o której długo potem w całym powiecie mówiono.

Jeden z przyjaciół pana Dicza chciał raz w rozmowie o tej rzeczy zaambarasować poczthaltera, stawiając mu niepodobne prawie do rozwiązania dylemma.

— Ja jednak nie pojmuje, — mówił do niego, — jak to być mogło. Pisząc tak *pro* i *contra* w jednej i tej samej sprawie, musiałeś przecie, kochany panie Janie, czy to jako poczthalter, czy jako burmistrz, pisać wbrew swemu przekonaniu, czego bym się po tobie wcale nie spodziewał.

— Broń Boże! — odpowiedział pan Jan, — pisałem zawsze najsumiennie. Bo trzeba ci wiedzieć, panie, że świat i wszystko co jest na tym świecie *ad rem* inaczej wygląda ze stanowiska poczthaltera, a inaczej ze stanowiska burmistrza.

Pan Jan miał może racyą. Wszyscy patrzmy na świat Boży przez okulary tego czem jesteśmy, idzie tylko o to, czy biorąc na swe barki dwojakie obowiązki, człowiek dwie pary takich okularów mieć może? Dlatego, nie odrzucając stanowczo aksjomatu pana Jana, inaczej przeciwie objaśnilibyśmy to jego postępowanie. Jako poczciwy człowiek, pan Jan Dicz nie chciał sądzić własnej sprawy; jako urzędnik-formalista uważał, że mu niewolno jej zaniedbać; ciągnął więc ją jak umiał i w całości dochował swojemu następcy, który odstępując od wymagań, dał dowód że pojmował iż taką prawosć postępowania, mimo jej śmieszności, godzi się i należy uważać za najlepszą wskazówkę, że człowiek taki jak pan Dicz niesłusznych pretensyj rościłby nie potrafił.

Pan Jan był wdowcem od dziesięciu lat blisko i siedemnastoletnia Marynia stała się jedyną jego starości pociechą. Nieboszczka żona pana Jana była ciotecznią siostrą matki Adasia; ztąd młody poeta zostawał z Diczami w pewnym powinowactwie, na zasadzie którego tytułował pana Dicza wujaszkiem, a poczthalterównę kuzynką. Prawa kanoniczne nie przeszkadzały stanowczo Adasiowi swe przywiązanie kuzynowskie na wcale inne uczucie zamienić; nieszczęściem jednak sprzeciwiała się temu zbyteczna jego młodość, a może jeszcze bardziej i ta okoliczność, że Marynia, która z nim razem od dzieciństwa w Olkuszku wyrosła, na kuzynka swojego innem okiem jak okiem kuzynki nie spozrzała ani razu i nie domyślała się nawet, że spozrzećby mogła.

Korzystając z niedzieli, pan Jan zajęty był w swjej kancelaryi referowaniem obszernego przedstawienia do urzędu pocztowego, wykazującego że liczba etatowych koni poczthaltery pilickiej, podniesiona byłaby powinna z ośmiu do dwunastu, gdyż tyle rzeczywiście utrzymywać musiał, i podczas tego właśnie zajęcia Ludwik z Adasiem weszli do jego zarządu.

— Przedstawiam wujaszкови, — rzekł Adaś, — naszego nowego doktora, pana Ludwika Grońskiego.

Pan Dicz zdjął okulary, wstał od biurka, spozrztał na nowoprzybyłego i rzekł kłaniając się, z nader uprzejmym uśmiechem.

— *Ad rem*, panie konsyliarzu, *ad rem!*

Miało to znaczyć wszystko, cokolwiek najgrzeźniejszego powiedzieć było można w podobnej okoliczności; ale Ludwik nie wiedział bynajmniej co to znaczyć miało i zmieształ się porządnie, widząc że pan Dicz tak się z nim prędko i obcesowo chce ułatwić.

Złośliwy Adaś śmiał się tylko w duszy z tego pomieszania doktora.

— Zapewneśmy przeszkodzili panu poczthalterowi, rzekł nareszcie Groński, któremu smutno się zrobiło na myśl, że będzie musiał wrócić do domu, bez zobaczenia swojej pacyentki; — w takim razie przepaszamy i nie będziemy natrętni.

— Oh! nie, panie konsyliarzu, — odpowiedział pan Jan. — Przyszliście właśnie w samą porę *ad rem*. W godzinach służbowych niema mnie dla nikogo, prócz interesantów, ale dziś *ad rem* święto. Na ten referat który tutaj piszę, mam jeszcze najmniej trzy miesiące czasu, więc proszę panów *ad rem*, jeśli łaska.

Tym razem *ad rem*, znaczyć miało: do bawialnego pokoju.

Bawialny pokój poczthaltera przybrany był nie bogato i wykwiłtnie, lecz czysto, gustownie i porządnie. Znać w nim było rękę kobięcą i można było spostrzedz od razu, że Marynia także pracowała w swojej sekcyi,

a referaty jej nie zalegały. Na fortepianie leżały rozłożone nuty. Ludwik rzucił okiem przechodząc i zobaczył tytuł jednej z kompozycy Chopina; na stole przed kanapą leżało kilka książek polskich, a nawet jedna francuzka. Ściany były przybrane w rysunki wcale niezłe, widocznie ręki córki gospodarza i w roboty kanwowe, na które młody doktor spozrztał jakoś niemile, pomimo ich nader starannego wykonania.

Jednym słowem, gdzie rzucił okiem nasz bohater, wszędzie spostrzegał więcej i wszystko spostrzegał lepsze, niż się w małej mieścinie, w mieszkaniu niezamożnego poczthaltera znaleźć spodziewać było można; a czy był z tego zadowolony, z wyjątkiem kanwowej roboty, równie szkodliwej zdrowiu, jak nieartystycznej, mówić nie potrzebujemy.

— A! jak sobie pan poczthalter rozkosznie i wesoło mieszkanko urządził, — zawołał ze szczerem zdziwieniem nasz bohater.

— To mi, panie, tak wszystko moja dziewczyna pourządzała tu *ad rem*, — odpowiedział pan Dicz; to jej wydział, panie, a ona także nielada urzędnik w swoim wydziale. Ja tu chciałem umieścić moją kancelaryą; byłoby panie więcej miejsca *ad rem* na pomieszczenie archiwów i ksiąg, ale gdzie tam! Czego to człowiek, panie, nie zrobi, jak dziecko zacznie prosić, a głąskać, a wmawiać? Niedobra dziewczyna, — mówił ojciec, usiłując twarzy nadać wyraz wyrzutu, w którym się cała miłość jego przebijala, — niedobra, panie, dziewczyna! zapakowała ojca z jego biurem do narożnej ciupy *ad rem*.

I roześmiał się wesoło pan Dicz, a w tym śmiechu, w tych słowach, w tém delectowaniu się rozkosznym starca swoim dziecięciem, było tyle szczęścia, tyle pogody, tyle czaru, tyle pochwały nieklamanej dla tego anioła, że zachwycony Ludwik mileżał i tylko w głębi duszy zadawał sobie pytanie:

— O Boże! czy ja naprawdę kochać zaczynam tę Marynię?

W tej chwili właśnie, jak gdyby umyślnie dla ułatwienia doktorowi odpowiedzi na kwestyą, o której rozwiązanie serca swojego zapytywał, otworzyły się drzwi i niewiedząca wcale o bytności gościa Marynia, lekkim, swawolnym krokiem wbiegła do pokoju.

W jasnym, skromnym, lecz gustownym ubiorze, w rozkosznej postawie rozigranego dziecięcia, z niedokończonym na ustach uśmiechem, ze spozrzeniem figlarnem i wesołem, bez tego piętna złowrogiego, które z rana w kościele tak przeraziło Ludwika, wbiegając swobodnie do pokoju, prosto ku ojcu, którego chciała uściskać, Marynia była śliczna, ślicniejsza może jeszcze niż w kościele.

Ledwie wbiegła, spostrzegając nieznanego, którego rysy widziane w kościele od razu się jej przypomniały, zatrzymała się na miejscu i pomieszana spuściła oczy ku ziemi. Biédaczka! wstydziła się swego dziecięcego poskoku, a byłaby dumną, gdyby wiedzieć mogła, jakie poczciwe serce ta chwila młodocianej pułoty ostatecznie i na wieki pod jej panowanie podbiła.

— No, pójdź tutaj aniołku; *ad rem*, mówił pan Jan, — poznasz naszego nowego doktora, pana Ludwika Grońskiego. A pan, panie doktorze, przypatrz się dobrze tej dziewczynie i powiedz czy to nie zdrowe *ad rem* dziecko, chociaż dotąd, prócz ziółek, żadnych lekarstw nie zna, i póki ja żyć będę, pewno nie zazna. Nie będziesz mi jej panie leczył wcale *ad rem*, i żaluj panie z góry, że tracisz taką ładną pacyentkę....

Uradowany ze swego dowcipu, pan Dicz zacięrał ręce i rozkoszował się karminowemi rumieńcami, jakimi jego ostatnie słowa oblały całą twarzyczkę Maryni.

— Nasza sztuka jest tylko ratunkiem w nieszczęściu — odpowiedział Ludwik, korzystając z wezwania ojca i patrząc na zarumienione dziewczę. Lekarz, tak jak strażnik pożarny, żadnemu z tych nad których bezpieczeństwem czuwa nie życzy pewno pogorzeli; ale gdy piérwszy znak niebezpieczeństwa spostrzeże, biegnie na pomoc, chociażby nawet przyszło....

— Przepraszam, panie konsyliarzu, — odezwał się Adaś, który czatował tylko na okazją psucia szyków doktorowi i piérwszą jaka się nadarzyła w lot schwytał, — tutaj kończy się podobieństwo. Dla doktora niema wcale tak nieprzyjemnego „choćaby“ jakie być może dla pożarnego strażnika....

— Niekoniecznie, — odrzekł spokojnie Ludwik, — lecz jeśli tak chcesz, panie poeto, nie będę się sprzeczał o to i powiem że biegniemy na ratunek z tym

większym zapalem, gdy spostrzegamy pożar w domu przyjaciela, na który to tytuł, nie jako doktor, ale jako człowiek, pragnąłbym i będę się starał zasłużyć w domu twoim, szanowny panie pocztalterze.

— *Ad rem*, panie konsyliarzu, *ad rem*, odpowiedział znowu pan Dżicz, przysłowie bowiem jego służyło mu do najrozmaitszych użytków, ale przedewszystkiem do wyrażenia ryczałtowego wszelkiego rodzaju konwencyonalnych grzeczności, począwszy od umiarkowanego „bardzo mi przyjemnie“, aż do kwiecistego „brak mi słów na wyrażenie radości jaką mnie to przejmuje“, i od zimnego „cieszy mnie to“, aż do patetycznego „ach! jakżem szczęśliwy!“

Tak się zaczęła pierwsza wizyta naszego bohatera na pocztę. Trwała ona dłużej, niż trwać zwykły pierwsze wizyty w wielkich miastach; ale niema się czemu dziwić, jeżeli wspomniemy na to, że ścisła etykieta dotąd jeszcze nie wszystkie parafie pod swępanowanie podbiła, i niema czego rozpaczać, bo to wkrótce, z postępem cywilizacji, niezawodnie nastąpi.

Ludwik przekonał się w ciągu tej pierwszej wizyty, że misya jaką miał przed sobą będzie stokróż trudniejsza, niż to przewidywał. Stary Dżicz miał odwieczne wyobrażenie o medycynie, nie wierzył w doktorów, a hołdując pod tym względem zadawnionym przesądom, nietylko żeby żadnej rady młodego medyka nie posłuchał, ale nadto przez wkorzenie przekonanie, że dzisiejsi doktorzy „sfalszowali medycynę *ad rem*“, jak powiadał, postępowałyby może wprost przeciwnie. Pocztalter pilicki wierzył tylko w ziółka, kleik i poty; niekiedy, ale bardzo rzadko, pijawki, a w razie niebezpieczeństwa krew, to była cała jego allopata, której wszystkie zasoby i przybory mieściły się w domowej apteczce, pozostałej po nieboszcze żonie.

Próżnoby było chcieć przełamać te uprzedzenia pana Dżicza: — pan Jan w tym względzie trzymał się jak mur.

Odkrycie to bolało niezmiernie młodego medyka, ale oczy i słowa Maryni rozléwały tak cudownie i szybko uzdrawiający balsam na tę boleść, że początkujący doktor zapomniiał o niej, a nawet gdyby wierzył że niewyszukane leki domowej apteczki Dżiczów wszystkie w ogóle tak skutecznie i prędko działają, byłby popalił, wróciwszy do domu, swoje książki medyczne, od Hipokrata aż do Hufelanda.

Marynia, prosta parańska, w rozmowie z Warszawianką okazała tyle niewymuszonego wdzięku, tak dostateczny zasób wykształcenia, taką naturalność i swobodę, taki brak wszelkiego wymuszenia i popisu, że jej słowa, ożywione jakąś instynktową sympatją dla młodego doktora, mogły tylko powiększyć w jego dwudziesto-pięcioletniem sercu urok i zachwyt, jaki w nim wywołała jej piękność i to pełne najwyższej obawy uczucie, jakie świadomość o grożącym jej przyszłości niebezpieczeństwie budziła w młodym doktorze.

Ludwik także nie milczał, i wychodząc z tej pierwszej wizyty, był już ze starym Dżiczem i jego śliczną jedynaczką jakby na stopie dawniej, dobrej znajomości. Student Ludwik zrobił więc, jak się pokazuje, więcej, niż poważny doktor Groński; ten bowiem, żegnając swoją pierwszą pacjentkę, zostawał w tej samej, a może większej niepewności co do drogi jaką obierze, jak kiedy szedł na pocztalterę.

Adaś się wściekał i przysięgał sobie, że się pomści na kuzynce, prześladowając ją doktorem.

Biędny młody poeta! ani się domyślał, ile tego rodzaju zemsta była w jego położeniu dla niego samego niebezpieczną.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Przegląd polityki zagranicznej.

18 stycznia.

Kłopoty wewnętrzne Austrii mnożą się, pod wpływem dążeń i wymagań rozmaitych żywiołów wchodzących w skład tego państwa, a ostatni patent cesarski, dotyczący nadzwyczajnej rady państwa, dał powód do nowych nieporozumień. Zwolując sejmy niewęgierskie, gabinet wiedeński widocznie chciał nadać przewagę żywiołowi słowiańskiemu, a tym samym obruszył przeciw sobie stronnictwo niemieckie, odgrywające dotąd pierwszą rolę w kraju. Oburze-

nie centralistów do tego doszło stopnia, że większość postanowiła podobno wcale nie wysłać swych delegowanych do rady nadzwyczajnej, naśladowując w tym dawniejsze postanowienie Węgrów, na co Wiener Jour. odpowiedział, że w obec takiego stanu rzeczy, gabinet odwoła się wprost do ludu, czyli innemi słowy—oprze się na żywiole słowiańskim. Jeszcze większe niezadowolenie panuje obecnie w Węgrzech. Na wiadomość o patencie nakazującym pobór do wojska bez udziału sejmu, wszyscy żupani i podżupani komitatów zagrozili podaniem się do uwolnienia, jeżeli rozkaz ten wykonany zostanie. Jeszcze dalej zaszli krańcowi na sejmie, stawiając wniosek aby patent uznany był za nieprawny, a każdy z wykonywających go ogłoszony zdracą kraju. Stronnictwo nawet umiarkowane, pod wodzą Deaka, oświadczyło, że uważa ten patent za pogwałcenie ustawy. Tak więc ze wszystkich stron nieporozumienia, sprzeczki, brak postanowienia—chaos. Jedyłą drogą ocalenia upatruje Wiener Jour. w rozpisaniu bezpośrednich wyborów do nadzwyczajnej rady państwa; wątpliwe wszakże można aby środek ten, w razie użycia go, mógł rzeczywiście zaspokoić tyle różnorodnych żądań i wymagań. Z Pesztu donoszą, że według obiegających tam pogłosek rząd austriacki cofnie dekret swój o poborze i zamianuje wkrótce osobne ministerium węgierskie. Neue fr. Presse donosi, że Rossya zamierza urządzać konsulat we Lwowie i przeznaczyła już generała Kreutzera na tę nową posadę.

Z dzienników niemieckich dowiadujemy się o nowym manifeście hr. Chambord, energicznie występującym przeciw dzisiejszemu rządowi francuzkiemu. Manifest jedyne go przedstawiciela starszej linii Burbonów, nie posiadałby głębszego znaczenia, z uwagi na bezsilność tego stronnictwa; wyznać jednak należy, że hrabia Chambord odzywa się nader rzadko, obecnie zaś wybrał dosyć krytyczną dla gabinetu paryżskiego chwilę. Niefortunna wyprawa meksykańska, kosztująca tyle nadaremnie wylanęj krwi i złota, znakomite powodzenie Prus w ostatniej wojnie, kwestya wschodnia, — wszystko to rozdrażniło miłość własną Francuzów, gorączkowo badających projekt nowej organizacji armii. Dodajmy do tego kłopoty płynące z kwestyi rzymskiej, oddziaływającej ujemnie na stronnictwo ultramontanów, a z łatwością uwierzmy, że odezwa hr. Chambord przykre w sferach rządowych wywołać musiała wrażenie. Wrażenie to tym silniejsze, iż kwestya wschodnia i sprawy niemieckie budzą w gabinecie paryżkim niemałe obawy. Z tym wszystkiem rząd francuzki stara się o utrzymanie dobrych stosunków z zagranicą, unikając wszelkich przytępnie nieporozumień. Tak np. podana przez Allg. Augsb. Ztg. wiadomość, jakoby Francya zażądała od Prus wynagrodzeń terytoryalnych, natychmiast przez Patrie zaprzeczona została. Cesarz Maksymilian napisał podobno list pełen goryczy do Napoleona III, użalając się na postępowanie Francji. Położenie Maksymiliana w Meksyku polepsza się, a chociaż wiadomość o wjeździe tryumfalnym do stolicy nie sprawdziła się, donoszą jednak że większość narodu niezawodnie się za cesarstwem oświadczy. Wkrótce wojska ekspedycyjne francuzkie wracają z Meksyku do Europy; towarzyszyć im będą legie belgijska i austriacka. Krzątanie się około przygotowań do wystawy powszechnej nie ustaje.

Kwestya wschodnia, przebiegając po równi pochyłej, dąży do ostatecznego rozwiązania. Z jednej strony powstanie trzyma się mniej więcej zwycięzko, a Grecy coraz bardziej budzić zaczynają sympatye w Europie; z drugiej bezwładność Turcyi i zmartwiałość tego politycznego ciała każą się domyślać, że panowanie półksiężycy w Europie wkrótce zakończyć się musi. Wywołane ostatnimi wypadkami przesilenie gabinetowe w Atenach, nie przyniosło Turkom spodziewanych korzyści. Nowy bowiem minister spraw zagranicznych, p. Communduros, otwarcie w Izbie oświadczył, że Grecya nie może odmówić sympatyi Kreteńczykom. W odpowiedzi na to rząd sułtański wysłał w d. 26 grudnia okólnik do mocarstw opiekuńczych, domagając się od nich aby zwrócili uwagę rządu greckiego na jego wyzywającą postawę. Porta utrzymuje, że Grecya wspiera zaburzenia na Kandyi i w Tessalii i że nawet zbroi się, w przewidywaniu wojny na wiosnę. Jednocześnie z tym, jak to depesza z Konstantynopola twierdzi, postanowiono od-

wołać posła tureckiego z Aten i powiększyć armią o 150,000 redyfów. W związku z tą wojowniczą postawą Turcyi pozostaje plan ustępstw dla chrześcian, w skutek czego nastąpić ma zmiana gabinetu w Stambule, na korzyść Fuada-baszy. Czas okaże czy środki te będą mogły uratować tonące państwo Osmanów; tymczasem zanotować możemy, że niektóre z mocarstw, mianowicie zaś Francya i Austrya, skłonne są do takiego rozwiązania sprawy wschodniej. Ze Porta w dobrych z Francją pozostaje stosunkach, widziemy z przyjęcia jakiego doznał poseł francuzki w Konstantynopolu, p. Bourré. Przyjęcie to było tak uroczyste i tak niezgodne z dotychczasowymi przepisami etykiety dworu tureckiego, że inni ambasadorowie dopytywać się zaczęli, co by to znaczyło miało. Odpowiedziano im że to zmiana etykiety, i że odtąd wszyscy posłowie w ten sposób przyjmowani będą. Pomijając te szczegóły i wracając do kwestyi zasad, dodamy jeszcze i to, że ogół dzienników zagranicznych oświadcza się z nieufnością względem Turcyi i wątpi aby państwo to mogło kiedykolwiek dotrzymać obietnic i ustępstw uczynionych na korzyść chrześciańskich swych poddanych. W Serbii panuje obecnie wielkie przeciw Turcyi wzburzenie.

Wspominaliśmy już w ostatnim przeglądzie naszym o zamiarze kongresu waszyngtońskiego oddania pod sąd senatu prezydenta Johnsona. Dzienniki angielskie donoszą, że prezydent jest oskarżonym: 1) o naruszenie konstytucyi Stanów Zjednoczonych; 2) o popełnienie wielkich zbrodni (?) przeciw obywatelom amerykańskim; 3) że mową zakłócił porządek publiczny i poniżył godność swego urzędu; 4) że oświadczył miał iż mógłby zostać dyktatorem; 5) że nadużywał prawa łaski i t. p. Wszystkie te zarzuty, nacechowane zwykłą Yankesom przesadą, stanowić miały podstawę procesu, który miano powierzyć jakiemuś p. Bingham z Ohio. Ostatnie wiadomości z Nowego Yorku zapowiadają, że zamiar oddania pod sąd p. Johnsona zaprzeczony został i że prezydent postanowił uniezależnić zamysły swych przeciwników, oddając tę sprawę w ręce sądu najwyższego.

Z Włoch wiadomości nieciekawe, oprócz bowiem nużących wieści o układach p. Tonello z dworem rzymskim i miejscowej wagi nowin, żadnych innych niema. Tylko odpowiedź króla włoskiego, dana deputacyi adresowej, zasługuje na uwagę. Król Wiktor oświadczył, iż dwie są tylko kwestye do załatwienia: finansowa i rzymska. Pierwsza przedstawia niemałe trudności, lecz te zwyciężone zostaną. Co się zaś tyczy kwestyi rzymskiej, to ta ostatecznie rozwiązana będzie, zgodnie z życzeniem narodu włoskiego. Sprawa parostatku „Tomasso“ załatwioną już jest w zasadzie; obecnie oznaczoną być ma summa, jaką Porta za straty zadane zapłaci. Dekret króla włoskiego z d. 8 b. m. zmniejsza budżet wojenny na rok bieżący o 45 milionów franków, czyli z 200 milionów na 155.

Ostatnie depezesze. Wiedeń, 16 stycznia. Wiener Ab. Post utrzymuje, że rząd turecki dowiedział się iż opróżnienie Nowosiela i blokhausów nie zostało dokonaniem, wysłał więc Izmaela baszę, celem dokonania warunków układu z Czarnogorą.

Londyn, 16 stycznia. W dniu wczorajszym załamał się lód na stawie w Regent park. Z dwustu ślizgających się osób które wpadły do wody, utonęło dwadzieścia.

Peszt, 17 stycznia. Izba magnatów przyjęła adres przeciw prawu wojskowemu.

Florenya, 17 stycznia. Dziennik Nuovo diritto donosi, że król udzielił hr. Bismarckorder Anuncyady. PP. Ricasoli i Visconti-Venosta otrzymali pruski order orła czarnego.

(W. T. B. Ind. Bel. Schles. Ztg. France. Jour. des Deb.)

Korespondencya od redakcyi.

Panu E. Ch. dziękujemy za śliczny wierszyk. Wkrótce go wydrukujemy.

Panom Maksymilianowi i A. B. w Warszawie, tudzież W. G. w Litwinii i M. K. w Petersburgu. Nadesłanych utworów rymowanych drukować nie będziemy. Przyczyn niepodobna w tym miejscu szczegółowo wyjaśnić.

Pana K. S. prosimy o osobiste porozumienie się z nami. Jesteśmy zdania, że artykuły tego rodzaju jak nadesłany, powinny być podpisane imieniem i nazwiskiem autora.

Pana L. H. z Leszna prosimy do rebusów nie używać samych przysłów; te bowiem, po większej części, zbyt łatwe są do odgadnięcia.